



*Margaret Way*



*Zbuntowany dziedzic*

# PROLOG

Przeznaczenie, fatum, los. Przed nimi nie uciekniesz.

Gina Romano, dwudziestoczteroletnia kobieta, której klasyczne rysy twarzy, oliwkowa cera, lśniące oczy i gęste ciemne włosy wskazywały na włoskie pochodzenie, szła w kierunku bramy. Spędziła popołudnie ze swoją przyjaciółką Tanya i małą Lily-Anne, która oczywiście była najpiękniejszym dzieckiem na świecie.

Tuląc córeczkę do piersi, Tanya stała w drzwiach domu i machała Ginie na pożegnanie. Gina zamknęła za sobą żelazną bramę, kiedy nagle poczuła na szyi lodowaty palec. Wystraszyła się. Ten zimny dotyk był niczym ostrzeżenie: ilekroć go czuła, zawsze coś się działo.

Szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Ręce jej drżały, nogi również, w głowie szumiało. Nie uważała się za jasnowidza, niewątpliwie jednak miała dodatkowy zmysł, obcy innym ludziom. Zmysł, który był darem, a zarazem przekleństwem.

Najpierw usłyszała hałas. Cichą podmiejską uliczkę nagle wypełnił ryk silnika: zza zakrętu wyjechał samochód, wypływając z siebie kłęby czarnego dymu. Z trudem wyprowadziwszy wóz z poślizgu, kierowca ponownie wcisnął pedał gazu.

Parę sekund wcześniej z domu naprzeciwko wyszedł agent nieruchomości, na oko sześćdziesięcioletni, i z kamerą w ręce skierował się do swojego auta. Na widok pirata drogowego krzyknął. W tym samym czasie z domu sąsiadującego z domem Tanyi wybiegł rudowłosy cherubinek o imieniu Cameron, który nie patrząc w prawo ani w lewo, wpadł na jezdnię. Myślał tylko o jednym: żeby złapać niebieską piłkę plażową, zanim ta wyląduje w rowie po drugiej stronie ulicy.

Agent nieruchomości zamarł z przerażenia, natomiast Gina, która była tak skupiona na dziecku, że nawet nie słyszała, jak Tanya wrzeszczy, zareagowała niczym sprinter na odgłos strzału i rzuciła się za małym rudzielcem. Frunęła, przynajmniej tak twierdzili sąsiedzi zaalarmowani krzykiem Tanyi. Jeden z nich powiedział później dziennikarzom: „To było coś niewiarygodnego. Ta młoda dama

mknęła z szybkością błyskawicy!".

Potraktowano ją jak bohaterkę, choć ona sama uważała, że postąpiła zwyczajnie: każdy by się tak zachował na jej miejscu. Życie dziecka było w niebezpieczeństwie, należało je ratować. Chwyliła chłopczyka w ramiona dosłownie w ostatniej chwili, po czym odskoczyła w bok. Była pewna, że zwali się na beton. Nie myślała o połamanych kościach czy pękniętych żebrach; skupiła się na tym, jak osłonić wciśniętą pomiędzy swoje piersi głowę malca.

Przeznaczenie. Wszystko mogło skończyć się tragicznie, na szczęście los chciał inaczej. Ni stąd, ni zowąd przed Giną wyrósł robotnik o budowie szafy pancерnej i zwinności tancerza, który porwał Ginę z chłopcem w ramiona. Teraz, gdy już nic mu nie groziło, mały Cameron podniósł gwałtowny alarm.

- Maaamaaa! Maaamaaa!

Z naprzeciwka biegła młoda kobieta o niesfornych marchewkowych lokach, która powtarzała niczym mantrę:

- Syneczku, syneczku, syneczku!

Dygocząc na całym ciele, Gina oddała chłopca wystraszonej matce. Zwyczajem dzieci, Cameron przestał płakać i zaczął radośnie chichotać. Z kieszonki niebieskich spodenek wyciągnął dwa nietknięte żelki i wręczył je Ginie, pewnie w nagrodę. Wszystko razem trwało kilkanaście, może kilkadziesiąt sekund. Wokół zdążył jednak zebrać się tłum gapiów. Ludzie bili brawo, jakby byli świadkami wspańiałego popisu kaskaderskiego. Kierowca, sprawca zamieszania, nawet nie zwolnił. Najwyraźniej uznał, że „wszystko dobre, co się dobrze kończy”.

Ludzie wygrażali mu pięściami i krzyczeli. Siwowłosa staruszka posłała wiązanekę, od której stojącym obok uszy się zaczerwieniły. Kierowca odjechał, rozmawiając przez komórkę. Ludzie zanotowali numery rejestracyjne. Niecałą godzinę później policja pirata zatrzymała.

Widząc przemianę Giny, agent nieruchomości ocknął się ze stuporu („Ludzie, nawet sobie tego nie wyobrażacie! To było jak scena z filmu” - relacjonował po-

tem) i sfilmował całe wydarzenie. I tak, wbrew swojej woli, Gina Romano została bohaterką. Wdzięczni rodzice Camerona opowiadali w programie telewizyjnym, że do końca życia będą ją błogosławić. Tanya skorzystała z okazji, aby pokazać światu swoją piękną córeczkę.

- Gina jest taka odważna - rzekła, wychwalając przyjaciółkę. - Kilka miesięcy temu uratowała Camerona przed wielkim czarnym psiskiem.

- Lepiej niech Cameron nie pakuje się więcej w tarapaty - powiedziała z uśmiechem dziennikarka.

Gina cały czas modliła się w duchu, aby nikt jej nie rozpoznał.

Oczywiście poznali ją wszyscy: znajomi, przyjaciele, mieszkańcy oddalonego o półtora tysiąca kilometrów miasteczka w północnym Queenslandzie, gdzie się urodziła i dorastała, a także - niestety! - mężczyzna, w którym cztery lata temu była beznadziejnie zakochana. Mężczyzna, z którym los nie pozwolił jej się związać. Mężczyzna, przed którym się skutecznie ukrywała.

Nawet najbliżsi przyjaciele nie wiedzieli, że zna Calvina McKendricka. A raczej znała, w dodatku bliżej. Nigdy nikomu nie opowiadała o swojej przeszłości. Teraz wiodła w miarę szczęśliwe życie, a o dawnym wołała zapomnieć. Miała ładne mieszkanie w bezpiecznej dzielnicy, niedaleko parku z placem zabaw dla dzieci, oraz dobrze płatną pracę w firmie maklerskiej. Chadzała na randki. Mężczyźni ją podziwiali i jej pragnęli. Co najmniej dwóch chciało się z nią ożenić.

Ale małżeństwo jej nie kusiło. Wiedziała, dlaczego. Nie było dnia, by nie myślała o Calu, który przed laty zawładnął jej ciałem, sercem oraz duszą. Stale toczyła z sobą walkę, próbowała o nim zapomnieć. Bezskutecznie.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cal McKendrick siedział na pięknym srebrzystoszarym ogierze i ze szczytu Crown Ridge spoglądał na stado bydła pędzone w stronę zagród w Yering Springs. Ze swojego punktu obserwacyjnego miał doskonały widok na całą dolinę Jabiru i wijącą się w dole rzekę, która w okresie suszy całkiem wysychała. Dziś słońce odbijało się w lśniącej tafli, a na porośniętych krzakami brzegach gromadziły się kaczki i gęsi. Dolina słynęła z bogatej flory i fauny: żyły tu setki odmian ssaków, gadów, owadów, no i oczywiście ptaków, głównie papug.

Cal uwielbiał tę część kraju; miała w sobie coś mistycznego. Bez względu na to, w którą stronę kierował wzrok, krajobraz go zachwycił. U siebie, na Wzgórzu Koronacyjnym, jego zachwyty wzbudzały laguny porośnięte wielkimi liliami w kolorze czerwonym, różowym, białym, żółtym. Niekiedy pod barwnym kwiatowym dywanem przepływał krokodyl. Mieszkańcy przywykli do nich. Po prostu trzymali się zasady: żyj i pozwól żyć.

Chryste, ale jest gorąco! Strużki potu ciekły Calowi po plecach. Nasunął głębiej na czoło kapelusz. Hm, przy najbliższej okazji musi przyciąć włosy, żeby nie leżały mu na karku. Rano powietrze było w miarę rześkie, ale teraz...

Popatrzył na niebo, na którym nie było śladu ani jednej chmurki, potem znów powiódł wzrokiem po dolinie. Co za bogactwo kwiatów! Na drzewach, na krzakach, na ziemi. Niektóre po okresie deszczowym osiągały wysokość dwóch lub więcej metrów.

To tu, na tym dzikim australijskim pustkowiu, w połowie lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, przodek Cala, Szkot Alexander Campbell-McKendrick, postanowił osiąść i stworzyć własną dynastię. Majątek w Szkocji przypadł pierworodnemu synowi. Alexander, śmiały i wizjoner, wyruszył więc w podróż na drugi koniec świata. Do Australii nie docierało wielu przystojnych, wykształconych Szkotów z dobrych domów; Alexandrem zaopiekował się gubernator Nowej Połu-

dniowej Walii.

Z początku właśnie tam osiadł, później zaczął szukać dla siebie innego miejsca i w końcu trafił w najbardziej dzikie zakątki Australii, do Terytorium Północnego. Był nieustraszony; nie przerażały go trudności. Podobno, spoglądając na bezkresne niebo oraz zieloną dolinę, stwierdził, że tu zapanuje korzenie australijska część rodu Campbell-McKendricków.

Mój pra-pra-pra-pradziad, pomyślał z dumą Cal, patrząc na swe dziedzictwo. Co za facet! McKendrickowie - pierwszego członka nazwiska pozbyli się na początku dwudziestego wieku - należeli do pierwszych osadników.

Późnym popołudniem, zmęczony i obolały po dniu spędzonym w siodle, wrócił do domu. Niesamowite, ile potrafi znieść ciało ludzkie. Ojciec Cala, Ewan McKendrick, legendarny hodowca bydła, którego do niedawna roznosiła energia, w ciągu ostatniego roku mocno przystopował z pracą. Teraz wszystko było na głowie syna.

Cal zastał rodziców i swojego owdowiałego stryja Edwarda w bibliotece. Popijając dzin z tonikiem, z ożywieniem rozmawiali o koniach. Na widok syna i bratanka wszyscy troje rozpromienili się, zupełnie jakby wrócił z dalekiej wyprawy na biegun południowy.

- Jesteś, kochanie. - Matka wyciągnęła do niego rękę.

Jocelyn była piękną kobietą, wspaniałą żoną, doskonałą panią domu, jednakże w roli matki nie wypadła najlepiej. Ubóstwiała Cal, lecz niewiele czasu i uwagi poświęcała jego młodszej siostrze Meredith.

- Może ty zdołasz to rozstrzygnąć - zwrócił się do niego ojciec. - Który z naszych ogierów...

McKendrickowie nie tylko hodowali bydło, specjalizowali się też w hodowli koni.

- Przykro mi, stryju - powiedział Cal, wysłuchawszy, o co chodzi. - Pewnie myślałeś o Góralu? To on był synem Dumy Charliego.

- Tak, oczywiście. - Edward pokiwał głową. Jak zwykle, Ewan miał rację.

Chociaż istniało między nimi silne podobieństwo fizyczne, bracia byli różni jak dzień i noc. Starszy przyćmiewał młodszego we wszystkim. Chociaż nie; Edward był znacznie bardziej wrażliwy, poza tym potrafił znakomicie dogadywać się z dziećmi i ludźmi, którym szczęście nie sprzyjało tak jak McKendrickom.

- Zjawileś się, synu, w samą porę! - Ewan roześmiał się głośno i uniósł pięść w geście zwycięstwa. - Napijesz się piwa? Bo zdaje się, że nie przepadasz za dniem?

- Najpierw wskoczę pod prysznic.

- Wywaliłeś z roboty młodego Fletchera?

Cal potrząsnął głową.

- Nie. Postanowiłem dać mu jeszcze jedną szansę. Jest młody, dopiero się wszystkiego uczy.

- W porządku - mruknął ojciec, choć dawniej uniósłby się gniewem. - Ale pamiętaj, jeszcze nie ty rządysz farmą.

A jednak w ostatnim czasie właśnie on, Cal, sprawował tu rządy. Farma stanowiła jego dziedzictwo.

Odruchowo skierował wzrok na piękne witrażowe okna. Wpadające do środka promienie słońca barwiły ściany biblioteki na kolor rubinu, szafiru, ametystu, złota. Trzy ściany zabudowane były mahoniowymi półkami, na których stała cenna kolekcja książek z różnych dziedzin: literatury, historii świata, mitologii, nauk ścisłych, a także dawne mapy i dokumenty rodzinne. Cal obiecał sobie, że kiedyś zatrudni doświadczonego bibliotekarza, żeby wszystko skatalogował. Żałował, że ani dziadkowie, ani rodzice nigdy nie czuli potrzeby zajęcia się księgozbiorem. Z kolei stryj Ed do niczego się nie wtrącał. Od dziesięciu lat, kiedy jego żona umarła na raka, mieszkał w domu brata.

Cal nie założył jeszcze własnej rodziny. Wszyscy chcieli, by poślubił Kym Harrison. Dwa lata temu byli przez chwilę zaręczeni. Do dziś nie mógł pojąć, jak to

się stało, że poprosił ją o rękę. Oczywiście matka ciągle suszyła mu głowę, że powinien ożenić się z Kym. Ale Kym zasługiwała na kogoś lepszego, na człowieka, który by ją kochał. Narzeczeństwo trwało pół roku. Przez ten czas walczył z sobą, próbując zapomnieć o innej kobiecie, która go zdradziła.

Wierzył jej bezgranicznie. Czy dwudziestopięcioletni mężczyzna może być aż tak ślepy i naiwny? Chyba tak.

Wciąż uchodził za jedną z najlepszych partii w kraju.

Kobiece pisma bez przerwy informowały czytelniczki o jego poczynaniach. Ale od czasu zerwania zaręczyn z nikim się nie związał. Owszem, umawiał się na randki, ale nie były to żadne poważne związki. Cały czas usiłował zapomnieć o przeszłości, pozbyć się wspomnień, które nie pozwalały mu cieszyć się życiem.

Z Kym znali się od dzieciństwa. Mieli mnóstwo wspólnych zainteresowań. Lecz zgodność charakterów, podobne pochodzenie społeczne, bliskie więzi rodzinne - to wszystko było za mało. Przynajmniej dla niego. Brakowało tego, czego zaznał wcześniej: namiętności, która daje siłę, napęd, szczęście, a bez której człowiek ma wrażenie, że wpadł w piekielną otchłań.

Gina. Pragnął jej od pierwszego wejrzenia.

- Dzień dobry, panu. Jakiż cudowny dzień, prawda? - To były jej pierwsze słowa. Wypowiedziała je spokojnie, z uśmiechem, jakby była księżniczką w przebraniu, księżniczką o zapierającej dech urodzie, a nie pokojówką.

Zamarł w bezruchu, czując, jak zalewa go fala pożądania. Ale to nie było zwykłe pożądanie. Wiedział, że nie oprze się tej dziewczynie; że zakocha się w niej do szaleństwa. Że to jest mu pisane. Nie liczył na żaden wakacyjny romans, a już zwłaszcza z kimś ze służby. Lecz Gina... Mimo że go okłamała, w głębi serca wciąż ją kochał.

Rodzice wymarzyli sobie inną synową: Kym, córkę Beth Harrison. Harrisonowie byli przyjaciółmi i najbliższymi sąsiadami McKendricków. Obie kobiety od lat snuły wizję, że w przyszłości ich dzieci się pobiorą. Matka Cala do dziś nie mo-



gła się pogodzić z jego decyzją o zerwaniu zaręczyn. Uwielbiała syna i uważała, że wie, co jest dla niego najlepsze.

Cal od dziecka walczył z jej zaborczością; chociaż kochał farmę, z radością wyjechał do szkoły z internatem, by uwolnić się od matki. Swoją córkę, Meredith, Jocelyn traktowała zupełnie inaczej. Niemal obojętnie. Całe uczucie przelewała na syna.

Przeszkadzało mu to. Obiecał sobie, że własne dzieci będzie kochał jednakowo, bez względu na płeć. Kym była oczkiem w głowie Harrisonów. Oboje świata poza nią nie widzieli. Jako jedynaczka miała w przyszłości odziedziczyć rodzinną posiadłość Lakefield.

- Lepiej nie mógłbyś trafić, kochanie - powtarzała jego matka. - Żadna kobieta nie kocha cię tak jak Kym. Pomijając, rzecz jasna, mnie. Ona jest dla ciebie idealna.

Oczywiście matka nie wiedziała o istnieniu Giny, chyba że ciotka Lorinda, która obiecała trzymać język za zębami, jednak się wygadała. Lorinda, siostra matki, bardzo mu wtedy pomogła; zawsze mógł na niej polegać. A Kym... mimo zerwania pozostali przyjaciółmi. Może wzięła na wstrzymanie? Może uznała, że z czasem Cal zrozumie, że popełnił błąd? Że sympatia i zgodność charakterów wystarczą do małżeństwa? Potrząsnął głową. A namiętność? Boże, minęły cztery lata, odkąd Gina go rzuciła, on zaś nadal rozpamiętuje ich miłość.

W pierwszej chwili poczuł do niej nienawiść. Sądził, że to mu pomoże uporać się z bólem, ale się mylił. Wtedy skierował nienawiść na samego siebie. Uległ namowom matki i zaręczył się z Kim; myślał, że to go wyleczy. Tak się jednak nie stało; nie potrafił wyrzucić Giny z serca.

Mijał gabinet ojca, kiedy usłyszał głos Meredith:

- Masz chwilkę, Cal?

- Jasne. - Zwykle siostra witała go ciepłym uśmiechem, lecz dziś miała poważny, nawet smutny wyraz twarzy. - Co się dzieje? - spytał zaniepokojony.

Była trzy lata od niego młodsza. Zawsze się o nią troszczył. Łączyła ich wyjątkowo bliska więź. Nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz się kłócili.

Jak wszyscy McKendrickowie, Meredith była szczupła i wysoka. Znakomicie jeździła konno. W różnych zawodach wygrała mnóstwo pucharów, wstęg, rozetek, niemal tyle samo co on, ale jej nagród nikt nie eksponował. Kiedyś w dzieciństwie obwiesił Mere wszystkimi zdobytymi przez nią wstęgami, a potem ją obfotografował, zarówno z koniem, jak i bez. Do dziś trzymał te zdjęcia; najlepsze powiększył, oprawił i postawił na biurku w sypialni pośród innych.

Musiał przyznać, że wszyscy McKendrickowie zwracali na siebie uwagę atrakcyjnym wyglądem. Sprawa genów. Meredith była piękna, nigdy jednak nie starała się podkreślić swojej urody; nie malowała się, używała jedynie błyszczycyku oraz emulsji przeciwsłonecznej, nosiła dżinsy i proste bawełniane koszule, rozjaśnione słońcem włosy czesała w warkocz lub w koński ogon. Ale i tak mężczyźni się za nią oglądali.

Życzył swojej siostrze wielu rzeczy: bardziej satysfakcjonującego życia, faceta, którego kochałaby z wzajemnością, małżeństwa, dzieci. Ale jego marzenia jakoś się nie spełniały. Ojciec skutecznie odstraszał wszystkich jej adoratorów. Zachowywał się w sposób władczy, onieśmielający, mimo że Meredith wcale nie była jego oczkiem w głowie. Bardziej od jedynej córki kochał żonę, syna, brata. On, Cal, nic na to nie mógł poradzić. Po prostu cieszył się, że Meredith nie wini go za zaistniałą sytuację.

Nigdy z sobą nie rywalizowali, nie byli o siebie zazdrośni. Meredith wierzyła, bo tak ją wychowano, że ważni są synowie, a córki się nie liczą. Co zaś tyczy się adoratorów, większość wiedziała, że nie ma sensu o nią zabiegać, skoro nie spełniają określonych wymogów, a wymogi McKendricków były mocno zawyżone.

- Spójrz - rzekła Meredith, wyrywając brata z zadumy.

Położyła na biurku gazetę i lekko ją wygładziła.

Jakie ma delikatne dłonie, przemknęło Calowi przez myśl, a tak ciężko pra-

kuje. Siostra nigdy się nie leniła; sprawnie wykonywała swoje obowiązki. Mężczyzna, którego poślubi, będzie wielkim szczęściarzem.

- Co to? - Stał koło niej. - O Chryste!

Obserwując emocje malujące się na twarzy brata, Meredith się wystraszyła.

- Przepraszam, może nie powinnam ci tego pokazywać, ale wydawało mi się, że będziesz zainteresowany.

Położył rękę na ramieniu siostry.

- Jestem. Dobrze zrobiłaś.

Odetchnęła z ulgą.

- Bardzo ją kochałeś, prawda? - zapytała.

- A potem bardzo starałem się zniechęcić - odparł, wpatrując się w piękną dziewczynę na zdjęciu. - Wiedziałem, że kiedyś ten dzień nadejdzie.

- Ja też - szepnęła Meredith.

- Skąd ją masz?

Była to gazeta wychodząca w sąsiadującym z Terytorium Północnym stanie Queensland. McKendrickowie jej nie prenumerowali.

- Służyła za papier opakowaniowy. Już ją miałam wywalić do śmieci, kiedy nagle... - Meredith urwała; w jej dużych niebieskich oczach zalśniły łzy. - Wciąż jest tak piękna, jak dawniej. A nawet bardziej. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Ginę na wyspie, przypominała boginię.

- Tak, zapierała dech - mruknął Cal.

- Autentycznie ją polubiłam. - Wciąż nie mogła pojąć, że tak bardzo pomyliła się w ocenie Giny. - Wydawało się, że duszę ma równie piękną, jak twarz.

- Każdy się czasem myli. - Cal roześmiał się gorzko. - Nie chciałem wierzyć, kiedy Lorinda powiedziała mi o jej wyjeździe. Z nikim się nie pożegnała, nawet nie złożyła wymówienia. Po prostu znikła.

Meredith przypomniała sobie własną reakcję: zaskoczenie, szok.

- Najdziwniejsze, że osoby z kierownictwa w ogóle się tym nie przejęły -

ciągnął Cal. - A wydawać by się mogło, że będą wściekle. Nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć.

- Pewnie ciocia Lorinda z nimi porozmawiała. Ona lub jej kumpel, właściciel wyspy. Przypuszczalnie przez wzgląd na ciebie nie chcieli robić afery.

- Może tak - przyznał siostrze rację. Zastanawiał się, czy istnieje skuteczny sposób pozbycia się obrazów, które ciągle odżywiają w pamięci. Oczami wyobraźni widział Ginę leżącą na białym piasku; pochyła się nad nią, powoli zbliża usta do jej ust... - Było, minęło. Nie ma sensu wracać do przeszłości. Lorinda starała się mi pomóc...

- Jednak na niewiele to się zdało.

Cal obrócił się do siostry.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Mogła namówić Ginę, żeby przynajmniej wyjaśniła ci swoją decyzję. Ja bym na pewno tak zrobiła, ale niestety to nie mnie Gina się zwierzyła. A jeśli chodzi o Lorindę, wciąż mam jej za złe, że wtrąciła się w mój żalorny romans z Jake'em Ellorym.

- To był dupek. Nie zasługiwał na ciebie.

- Mam tego świadomość. Ale ciotka nie musiała się wtrącać. Wiem, że chciała dobrze, ale... - Na moment Meredith zamilkła. - To manipulorka, jak nasza mama. Podobnie jak ona, widziała ciebie, swojego ukochanego siostrzeńca, u boku niebieskookiej Kym, która jej zdaniem stanowi uosobienie szlachetności, a nie u boku Giny uwodzicielki. Pewnie nigdy nie poznamy prawdy. Ale głowę bym dała, że Gina bardzo cię kochała.

- Lepiej się nie zakładaj - mruknął Cal; na jego twarzy malowało się napięcie.

- Gina nie miała odwagi powiedzieć mi tego, co powiedziała Lorindzie. Że znajomość ze mną traktuje jak wakacyjny romans. Że w domu czeka na nią narzeczony. Włoch, tak jak ona. Że wszyscy liczą na to, że go poślubi.

Meredith westchnęła.

- Sama nie wiem, co o tym myśleć. Jakoś brak odwagi nie pasuje do kogoś, kto ryzykuje życie, aby uratować cudze dziecko. Spójrz na nią, Cal. To twarz osoby nieulekłej. Nie dziwi mnie, że Gina rzuciła się małemu na ratunek. To w jej stylu. Natomiast całkiem nie w jej stylu jest ucieczka.

Przeczytawszy ponownie artykuł, Cal przeniósł wzrok na siostrę. Jeśli chodzi o wzrost, budowę ciała, rysy twarzy był typowym McKendrickiem, ale intensywnie zielone oczy odziedziczył po matce.

- Pojadę tam - oznajmił. - Odszukam ją.

- Serio? - Meredith nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

Może podświadomie na to liczyła? Przecież mogła gazetę wyrzucić, a ona ją zatrzymała.

- Jak najbardziej serio! Dlaczego nie wyszła za tamtego gościa? W gazecie piszą o Ginie Romano, a nie o Ginie Falconi, Marente czy jeszcze inaczej. - Postukał w rozłożoną na biurku płachtę. - Romano to jej panięskie nazwisko. To znaczy, że nie ma męża. Czyżby kolejnemu facetowi złamała serce? - Zmrużył oczy.

Marzył o tym, by zemścić się na kobiecie, przez którą cierpiał.

Meredith nie próbowała brata powstrzymać. Kiedy Cal coś sobie postanowił, nie było odwrotu. Natychmiast przystępował do działania. Gina go skrzywdziła. Od czterech lat usiłował o niej zapomnieć. Miał prawo żądać wyjaśnień, poznać prawdę. Może Gina niewarta jest jego cierpienia? Sam musi się o tym przekonać. Zbliżał się do trzydziestki. Najwyższy czas, by zaczął patrzeć w przyszłość. Rodzice coraz bardziej na niego naciskali, żeby się ożenił i dał im wnuka. Oczywiście marzyli o wnuku, nie wnuczce.

- Co powiesz rodzicom? - zapytała. - Zarządzasz farmą. Nie możesz tak bez słowa zniknąć.

- Że potrzebny mi krótki urlop. Poproszę Steve'a, żeby mnie zastąpił. Na pewno sobie poradzi. Ma farmerstwo w genach, mimo że stary Lancaster nie chce go uznać. - Wszyscy wiedzieli, że Gavin Lancaster, słynny hodowca bydła, jest

biologicznym ojcem Steve'a Lockharta; podobieństwo było uderzające. - Nawet nasz stary, który z początku nie chciał Steve'a zatrudnić, w końcu się do niego przekonał. Może bał się narazić Gavinowi? Słyszałem, że to zimny drań.

- Naszego ojca też za plecami nazywają sukinsynem - przypomniała Calowi Meredith.

- Może. Ale nasz nie jest wyrachowany. A Steve wyrasta na jednego z najlepszych zarządców, jakich kiedykolwiek mieliśmy. Gdyby Gavin wspomógł go finansowo, chłopak prowadziłby własną farmę...

- Ale nie prowadzi, a Gavin nigdy go nie wspomże - oznajmiła Meredith, daremnie starając się ukryć złość. - Gavin Lancaster prędzej umrze, niż przyzna się do Steve'a. Nie rozumiem, o co facetowi chodzi. Jego żona nie żyje. Drugi syn nie dorasta Steve'owi do pięt. Po prostu głupi jest i tyle, mam na myśli starego Lancastera.

Wzruszyła ramionami. Zazwyczaj nie wypowiadała się na temat Steve'a. Nauczyła się udawać obojętność wobec każdego mężczyzny, który jej się podobał, zwłaszcza mężczyzny, który nie dość że pracował u McKendricków, to jeszcze był nieślubnym synem Gavina Lancastera.

- Wezmę to, dobrze? - spytał Cal, składając stronę z gazety tak, by zmieściła się do tylnej kieszeni dżinsów.

- Proszę bardzo. Cal, wiesz, że może z tego nic nie wyjść? - Chciała oszczędzić bratu dalszych cierpień.

- Wiem. Ale to niczego nie zmienia.

Zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi. W progu przystanął i posłał siostrze uśmiech, który zawsze u wszystkich wywoływał szybsze bicie serca. Meredith miała identyczny, tyle że nie zdawała sobie z tego sprawy.

- To już naprawdę cztery lata?

- Tak, choć mnie się wydaje, jakby to było wczoraj.

W oczach brata zobaczyła ból.

- Co zrobisz, jak ją odnajdziesz? - zapytała.

Nagle uświadomiła sobie, że pragnie, aby Gina Romano stała się częścią ich życia. Pamiętała piękną młodą dziewczynę, silną, a zarazem delikatną, obdarzoną ogromnym poczuciem humoru oraz nieprzeciętną inteligencją. Chętnie z kimś takim by się zaprzyjaźniła. Woląла jednak nie myśleć o reakcji swoich rodziców. Podejrzewała, że stanowczo sprzeciwiliby się związkowi Cala z Giną. Bądź co bądź Gina nie była „osobą naszego pokroju”.

Przez chwilę Cal milczał.

- Zażądam, żeby mi wyjaśniła, dlaczego wtedy kłamała - odparł wreszcie z furją.

RS

## ROZDZIAŁ DRUGI

Gina zaparkowała samochód przed skromnym domkiem Rosy. Wdychając zapach roślin w wypielegnowanym ogródku, ruszyła kamienną ścieżką do ganku ozdobionego wiszącymi koszyczkami, z których wylewały się kwiaty. Rosa kupiła domek trzy lata temu; stał na ubitym kawałku ziemi, który sama własnoręcznie przerobiła na rajski ogród.

Rosa była chrzestną Giny, świadkiem na pierwszym ślubie jej matki. Z tego małżeństwa, które należało do wyjątkowo nieudanych, urodziło się dwoje dzieci: Gina i dwa lata starszy od niej Sandro. Po ostrej kłótni z ojcem, człowiekiem apodyktycznym, o trudnym charakterze, Sandro uciekł z domu; po prostu zapadł się pod ziemię. Jak to możliwe, zastanawiała się Gina. Jak można zgubić nazwisko, tożsamość? Jak wtedy zdobyć prawo jazdy? A ubezpieczenie zdrowotne? A karty kredytowe? Może Sandro nie żyje? Nie, akurat w to Gina nie wierzyła, chociaż brat ani razu nie odezwał się ani do siostry, ani do matki. Nie zadzwonił, nie napisał. A obie cierpiały.

Rosa była świadkiem tych wydarzeń.

- Zobaczysz, skarbie, któregoś dnia Sandro do nas wróci - powiedziała. - Odszedł, bo nie mógł wytrzymać z waszym ojcem.

Gdy ojciec wyrzucił ciężarną Ginę z domu - wskazał jej po prostu drzwi, przykazując, aby nie pokazywała mu się na oczy - Rosa zaproponowała jej pokój u siebie. Gina odmówiła; nie chciała sprowadzać na Rosę kłopotów, choć ta twierdziła, że umie sobie radzić z takimi łajdakami jak Ugo Romano.

Kiedy w wieku pięćdziesięciu czterech lat zmarł jej mąż Primo, Rosa sprzedała farmę i przeniosła się do Brisbane, żeby być bliżej swojej chrześnicy. Sama nie miała dzieci. „Biedny Primo, w tym jednym się nie spisał”. Poza tym jednak był dobrym człowiekiem i fantastycznym mężem.

- Ktoś musi się tobą opiekować - oznajmiła, stając w drzwiach Giny.



Dalej nastąpił stek przekleństw skierowanych do ojca dziewczyny. Półtora roku później jej życzenie, aby starego szlag trafił, się spełniło: stara furgonetka, którą Ugo prowadził, dachowała kilka razy i wylądowała w rowie.

- Pan Bóg przemówił - stwierdziła na pogrzebie Rosa. - Teraz wszyscy odechną z ulgą. A moja siostra Lucia może znajdzie drugiego męża, lepszego, który będzie ją kochał...

Matka Giny, Lucia, od początku była nieszczęśliwa w małżeństwie zaaranżowanym przez swoich rodziców, lecz mimo usilnych namów przyjaciół nie potrafiła odejść od męża.

- Sprawiedliwości wreszcie stało się zadość - skomentowała Rosa jego śmierć.

Zanim Gina doszła do kobaltowych drzwi, przy których stały dwie donice pełne różowych kamelii, Rosa - jak zwykle ubrana bardzo niekonwencjonalnie - pojawiła się na ganku.

- Mały uwielbia tę kreskówkę - powiedziała. - Śmieje się, klaszcze w rączki, śpiewa, tańczy. Nie ma nic piękniejszego od widoku radosnego dziecka.

- A chociaż był grzeczny?

Schyliwszy się, Gina pocałowała aksamitny policzek swojej chrzestnej. Rosa była urodziwą kobietą, która zawsze podobała się mężczyznom. Miała ogromne powodzenie, lecz póki Primo żył, nigdy nie uległa pokusie. Obecnie umawiała się z pewnym bogatym wdowcem, emerytowanym bankierem. Gina spotkała go parę razy; uważała, że facet jest sympatyczny, ale ma jeden duży minus: nie podziela szerokich zainteresowań kulturalnych Rosy.

- To aniołek! Nie sposób go nie kochać - odparła Rosa, która nie mogła przeboleć braku własnych dzieci i wnucząt.

Całe szczęście, że miała Ginę i małego Roberta.

- Mamusia? - Robbie wybiegł z pokoju.

Gina chwyciła synka w ramiona i obsypała pocałunkami.

- Cześć, misiaczk. Jak było w przedszkolu?

- Dużo rzeczy się nauczyłem - oznajmił z dumą, po czym zafrasował się. - Ale już nie pamiętam czego.

- Nie szkodzi, przypomnisz sobie.

- Wejdiesz? - spytała Rosa.

- Na chwilkę. Mam coś dla ciebie.

- Dla mnie też? - zainteresował się chłopczyk.

Gina postawiła go na podłodze. Ależ robi się ciężki!

- Mam nadzieję, że to „coś” jest płynne i czerwone. - Rosa uśmiechnęła się szeroko. Była doskonałą kucharką i koneserką win, szczególnie lubiła shiraz.

- Zgadłaś. W dodatku zostało wysoko ocenione.

- *Bellisimo!*

Rosa wyrzuciła ręce w bok i ku uciechu Robbiego odtańczyła taniec radości. Chłopiec ubóstwiał ją, zwłaszcza że jego prawdziwa babcia mieszkała daleko, na plantacji kawy na Nowej Gwinei.

Weszli w trójkę do środka. Domek, skromny z zewnątrz, w środku odzwierciedlał żywiołowy temperament Rosy. Ściany zdobiły obrazy jej autorstwa. W żółto-białej kuchni wisiało wielkie płótno przedstawiające wiklinowy kosz na białym obrusie, pełen lśniących cytryn. Gina mogła patrzeć na niego godzinami. Zresztą u siebie w mieszkaniu też miała kilka obrazów namalowanych przez Rosę.

Dziesięć minut później zamknęła za sobą drzwi, Robbiego posadziła przed telewizorem, a sama przeszła do sypialni, aby rzucić elegancki biurowy strój. Z szafy wyjęła wygodną cyklamenową sukienkę z jedwabiu obszytą złotą nitką. Choć parę godzin temu była na służbowym lunchu, powoli robiła się głodna.

Hm, może lekka sałatka? Robbie zażyczył sobie swoich ulubionych kielbasek. Zawsze kupowała jedzenie najlepszej jakości, a chłopiec, który dawniej wybrzydzał przy stole, teraz wszystko pałaszował z apetytem. O dziwo, rano zjadał nawet owsiankę z bananami. Wcale nie chciał słodkich płatków z konserwantami czy ja-

jek.

Szła przez hol, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Przystanąła zaskoczona. Goście zwykle wciskali przycisk domofonu, ich twarze ukazywały się na ekranie. Pewnie to Dee, uznała po chwili. Kiedy nie było jej w domu, a listonosz dostarczał paczkę, wtedy Dee ją odbierała.

Na wszelki wypadek przytknęła oko do wizjera. Zobaczyła wielki bukiet żółtych róż. Przepadała za nimi. Kumpel z pracy czasem przysyłał jej czerwone. Odgarniając włosy za uszy, otworzyła szeroko drzwi.

A tam stał Calvin McKendrick!

Nie czuła żadnego ostrzeżenia. Żaden zimny palec nie dotknął jej szyi. Psiałość, tym razem zmysły całkiem ją zawiodły. Objęła się mocno w pasie, jakby ten gest mógł ją powstrzymać przed osunięciem się na ziemię.

Cztery lata. Wszystkie emocje w niej odżyły, zupełnie jakby rozstali się przed chwilą. Tkwiła bez ruchu, jak zahipnotyzowana. Nie potrafiła wykonać kroku, odezwać się, zamrużyć. Dopiero po paru sekundach poczuła, że krew ponownie krąży w jej żyłach. Miała nieprzewartą ochotę rzucić się Calowi w objęcia. Chciała wciągnąć w nozdrza zapach jego ciała, pocałować go. Czy nie dość się już wycierpiała? Zamiast tego wzięła głęboki oddech.

- Cal...

- Czyli pamiętasz? - spytał uprzejmie. - Proszę, mów dalej.

Jego oczy lśniły chłodnym blaskiem.

- Mów dalej? - Przerażona, znalazła za plecami klamkę.

Chciała zamknąć drzwi. Cal nie może zobaczyć Robbiego. Jeszcze by jej odebrał syna. McKendrickowie są ludźmi wpływowymi, mają armię prawników oraz nieograniczone fundusze. Nie istnieją dla nich rzeczy niewykonalne.

- Nie zamierzasz dodać, że zaskoczył cię mój widok? - zapytał drwiącym tonem.

- Zaskoczył. Bardzo - rzekła. Drżała na całym ciele; serce waliło jej jak mło-

tem. - Jak mnie znalazłeś?

- Nie żartuj. Nie było trudno.

No tak, oczywiście. Trafiła na pierwsze strony gazet, a także do telewizji. Ludzie rozpoznawali ją na ulicy; niektórzy podchodzili, nazywali ją bohaterką, gratulowali jej odwagi. Nerwowo zastanawiała się, co ma zrobić. Najważniejsze to wziąć się w garść.

- Nie jesteś sama? - spytał Cal i zerknął w głąb mieszkania.

Komoda, nad nią niezwykle obraz olejny, dwa stare świeczniki, wazon z zielonego szkła ozdobiony małymi białymi kwiatami i złotymi liśćmi. Ładnie.

Gina skinęła pośpiesznie głową.

- Wolisz, żebym wrócił kiedy indziej? - Pożerał ją wzrokiem.

Była atrakcyjną dziewczyną, jeszcze piękniejszą niż dawniej, o klasycznych rysach twarzy, dużych oczach i lśniących falujących włosach, które sięgały jej do połowy pleców. Pożądanie zalało go niczym spływająca z góry lawa.

- Nie, nie wracaj, Cal. Proszę cię - rzekła, słysząc, że film Robbiego właśnie się skończył. - Po tylu latach nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Na dźwięk zbliżających się kroków usiłowała zamknąć drzwi. Cal wsunął nogę w szparę.

Robbie, nie! - błagała synka w myślach.

Ale chłopczyk nawet nie zwolnił. Ciekaw był, z kim mama rozmawia. Uwielbiał gości. Tak jak się tego spodziewała, wyłonił się zza ściany oddzielającej salon od holu i objął Ginę w pasie.

- Cześć, jestem Robbie. - Śmiejąc się wesoło, z zainteresowaniem powiódł po Calu wzrokiem. - Jesteś przyjacielem mojej mamusi?

Po raz pierwszy w życiu Cala zamurowało. Różne rzeczy sobie wyobrażał, ale nie coś takiego. Miał wrażenie, jakby dostał obuchem w głowę. Bo nagle zrozumiał prawdę. To jest jego dziecko! Jego syn! Nie miał cienia wątpliwości. Byli podobni do siebie jak dwie krople wody.

Oderwał wzrok od chłopczyka i utkwił w twarzy Giny. Sprawiała wrażenie przybitej i wystraszonej.

- Jeśli pozwolisz, to jednak wejść - rzekł, dla dobra dziecka starając się trzymać nerwy na wodzy. - Wbrew temu, co twierdzisz, mamy o czym porozmawiać.

Wyciągnąwszy rękę, pogładził syna po ciemnorudych lokach. Kiedy mały dorośnie, przybiorą odcień mahoni. Chłopiec miał rysy McKendricków oraz zielone oczy ojca. A także charakterystyczny dołeczek w brodzie, taki sam jak jego ojciec, ciotka, dziadek i brat dziadka.

- Cześć, Robbie. Tak, jestem starym znajomym twojej mamusi. Mam na imię Cal. Calvin McKendrick. Cieszę się, że się wreszcie spotkaliśmy. Wiesz, chyba bym cię wszędzie rozpoznał. - Wszędzie na świecie, dodał w myślach, nie mogąc się pogodzić z podłością Giny.

- Ja też się cieszę - oznajmił słodziutko Robbie.

Puściwszy matkę, wyciągnął rączkę na powitanie.

Cal przekazał Ginie bukiet, po czym uścisnął małą łapkę.

- Czyli masz na imię Robert?

- Robbie. Właśnie oglądałem moją ulubioną kreskówkę. Możemy ją razem obejrzeć, jeśli chcesz.

- Bardzo chętnie.

- Teraz? - spytał z nadzieją w głosie chłopczyk.

Najwyraźniej z miejsca poczuł do Cala sympatię.

- Kochanie - wtrąciła się do rozmowy Gina. - Cal wpadł tylko na moment. - Przyciągnąwszy do siebie syna, posłała Calowi błagalne spojrzenie. Zignorował je.

- Nigdzie się nie spieszę. Mogę wejść, Robbie?

- Czy Cal może wejść, mamusiu? Proszę, zgódź się! - Jako inteligentne dziecko chłopczyk wyczuwał napięcie w powietrzu, ale był za mały, by cokolwiek zrozumieć. - Zjesz ze mną kolację? - zwrócił się do gościa.

- Chętnie.

- Super! - Robbie ponownie wyciągnął do Cala rączkę. - Ojej! - zawołał, zdziwiony twardymi odciskami.

- To dlatego, że jestem hodowcą bydła - wyjaśnił mężczyzna.

- To znaczy masz krowy, konie i inne zwierzęta?

- Tak. Kiedyś pokażę ci moją farmę.

- Słowo? - Oczy Robbiego zalsniły z podniecenia.

- Słowo. Pewnie zbliża się twoja pora snu? - spytał Cal, nie mogąc się doczekać rozmowy z matką swojego syna.

- Normalnie chodzę spać o siódmej - wyjaśnił chłopiec, przyglądając się uważnie gościowi, który z jakiegoś dziwnego powodu wydawał mu się znajomy. - W weekendy trochę później. Będziesz tu jeszcze, to znaczy o siódmej?

- Na sto procent.

Zachowywali się jakby nigdy nic, dopóki mały nie poszedł spać. Gina, jak zwykle, pocałowała syna na dobranoc i przykryła go kołderką.

- Dobranoc, misiaczku.

- Branoc, mamusiu.

- Karaluszki...

- Do poduszki - dokończył ze śmiechem Robbie, po czym wbił spojrzenie w Cala. - Odwiedzisz nas jeszcze kiedyś?

- Masz to jak w banku. - Pochyliwszy się, Cal cmoknął go delikatnie w policzek.

- To dobrze, bo fajny jesteś. Lubię cię.

- Ja ciebie też, smyku - odparł Cal, patrząc, jak chłopiec wzdycha cichutko i zamyka oczy.

W pełnej napięcia ciszy dorośli wrócili do salonu. Gina jeszcze nigdy nie widziała, żeby Robbie tak zareagował na wizytę obcego człowieka. No cóż, więzy krwi...

Zamknęła cicho drzwi między salonem a holem, na końcu którego znajdowa-

ły się sypialnie.

- Nienawidzisz mnie - zwróciła się do Cala.

- Dziwi cię to? - odparł kpiącym tonem. - Dlaczego to zrobiłaś? - Starając się panować nad emocjami, zacisnął ręce na jej ramionach. - Wróciłaś do narzeczonego, tak? Dlaczego nie wystrychnęłaś go na dudka? Kiedy okazało się, że jesteś ze mną w ciąży, mogłaś mu wmówić, że to jego dziecko. Bałaś się, że ci nie uwierzy? Że wpadnie w furję i może nawet cię zabije, kiedy odkryje prawdę? Te rude loki i zielone oczy... Robert wygląda tak jak ja, kiedy byłem w jego wieku. Na dowód mam dziesiątki zdjęć z tego okresu.

Puścił ją tak gwałtownie, że musiała uchwycić się fotela, by nie upaść.

- Przykro mi, że sprawiłam ci ból - rzekła bezbarwnym głosem. - Twój gniew świadczy o tym, że tłą się w tobie ludzkie uczucia.

- Ludzkie uczucia? O czym ty, do diabła, mówisz? Przykro ci? Chryste! - Niczym lew w klatce zaczął przemierzać pokój. - Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Że ci przykro? Miałem prawo wiedzieć! Robert urodził się trzy lata temu. Jak pomyśle, ile straciłem... Cholera jasna, od trzech lat mam syna, o którego istnieniu dopiero dziś się dowiaduję! Nie było mnie przy jego narodzinach. Nie widziałem jego pierwszych kroków, nie słyszałem pierwszych słów. Odebrałaś mi możliwość bycia z nim, kochania go. Jak mogłaś? - Opadł na sofę, przykrył dłońmi twarz. - Na co liczyłaś? Boże, Gino, naprawdę nie masz za grosz sumienia?

Z całej siły próbowała powstrzymać łzy.

- Nie, błagam cię! Ja... po prostu starałam się stworzyć mu jak najlepszy dom.

Opuścił ręce. Na jego twarzy malowała się złość, rozpacz.

- Z dala ode mnie? - Rozejrzał się po gustownie urządzonej salonie pełnym świeżych kwiatów i dzieł sztuki. - Tu mieszkasz?

- Oczywiście, że tu. - Ogarnęła gęste loki niecierpliwym gestem.

- Sama z Robertem?

- Tak - odparła.

Nie ośmieliła się dodać: to nie twój interes. Pomimo opalenizny, był blady jak kreda. Bała się go; tego, co może zrobić. Psiakość, wiedziała, że artykuł w gazecie przysporzy jej kłopotów!

- Pracujesz? - Na moment zamilkł. - Usiądź, z łaski swojej.

Zrezygnowana usiadła w fotelu naprzeciwko sofy i wymieniła nazwę firmy maklerskiej.

- Muszą ci nieźle płacić. - Ponownie powiódł wzrokiem po salonie.

- Owszem - odparła nieco głośniejszym głosem. - Wszystko, co tu widzisz, należy do mnie.

- Brawo!

- Do czego zmierzasz, Cal?

- Kto się opiekuje małym, kiedy jesteś w pracy?

Nie podobało jej się to przesłuchanie. Ale wiedziała, że nie ma wyjścia, musi odpowiedzieć na pytania Cala.

- Moja chrzestna, Rosa. To wspaniała kobieta. Roberto ją kocha.

- A cóż ta wspaniała Rosa robi w Brisbane? A może wszystko, co mi mówiłaś, to były kłamstwa?

- Nie. - Pokręciła głową. - Po śmierci męża Rosa sprzedała farmę i zamieszkała koło mnie. Bardzo poważnie traktuje swoją rolę matki chrzestnej. Cal, ja... nigdy cię nie okłamałam.

Parsknął śmiechem.

- Przecież łżesz jak z nut. Mówiłaś, że mnie kochasz. Że chcesz spędzić ze mną resztę życia. Jeśli to nie są kłamstwa...

Strach, jaki czuła jeszcze przed chwilą, znikł.

- A ty dlaczego nie byłeś ze mną szczerzy? - spytała ostro. - Na ciebie czekała dziewczyna, z którą miałeś się ożenić. Niejaka Kym Harrison. Nie miej tak zdziwionej miny. Mężczyźni notorycznie zdradzają swoje partnerki. Widziałam wasze zdjęcie w gazecie. Niżej widniał podpis: Calvin McKendrick i jego urocza narzeczona Kym Harrison. Byliście na dorocznym wyścigu o Puchar Melbourne. Wciąż



trzymam ten wycinek. Dlaczego mi nie powiedziałeś o Kym?

Zszokowany, przez moment nie był w stanie wydobyć głosu.

- Dlaczego mieszasz do tego Kym? Odkąd cię poznałem, nie liczyła się dla mnie żadna inna kobieta. Żadna Kym. Pragnąłem ciebie, wyłącznie ciebie. Z Kym zaręczyłem się później, po twoim wyjeździe. I bardzo się tego wstydę, bo posłużyłem się nią, żeby zapomnieć o tobie.

Przyjrzała się badawczo człowiekowi, który prześladował ją w snach, ojcu swojego dziecka.

- Nie wyszło wam? - spytała uszczypliwie.

- Podobnie jak tobie i twojemu narzeczonemu - warknął.

Wytrzeszczyła oczy.

- Wybacz, ale nie rozumiem. - Uniosła dumnie brodę.

Roześmiał się.

- Nie żartuj! I nie rób takiej napszonej miny.

- Nigdy nie miałam żadnego narzeczonego. Mój ojciec przeganiał każdego chłopaka, który próbował się do mnie zbliżyć. Kiedy cię poznałam, byłam dziewicą, o czym doskonale wiesz.

Zaczerwienił się.

- Tak, wiem. Ale zabezpieczaliśmy się.

- Owszem, poza tym jednym razem.

Przeczesał ręką włosy.

- Szalałem za tobą. Kochałem cię do obłędu. Nie chciałem cię skrzywdzić.

- Ale skrzywdziłeś. Bardziej, niż sobie wyobrażasz. Wiele wycierpiałam, lecz przynajmniej mam mojego ślicznego synka.

- Roberta. Robert to imię, które w mojej rodzinie przechodzi z pokolenia na pokolenie. Pamiętam, że ci o tym mówiłem.

- Możliwe. - Wzruszyła ramionami. - Nazwałam małego na cześć mojego brata Alessandra, który na drugie ma Roberto. - Nie przyznała się, że kierowała się

oboma względami.

Cal zamyślił się.

- Chodzi ci o Sandra, który w wieku szesnastu lat rozpląnął się w powietrzu?

- Czyli jednak coś pamiętasz! - zawołała drwiąco.

- Wszystko pamiętam! - warknął. - I co? Ani razu nie dał znaku życia?

Potrząsnęła głową. Miejsce ironii zajął smutek.

- Nawet nie wiemy, czy żyje.

Przełknęła ślinę. W gardle miała sucho, jakby wędrowała przez pustynię. Utkwiła spojrzenie w siedzącym naprzeciwko mężczyźnie. Był starszy, bardziej dojrzały niż wtedy na wyspie. Sprawiał wrażenie silnego i władczego.

Ponownie ogarnął ją strach.

- Cal... Obiecuj mi, proszę, że nie będziesz próbował zabrać mi Robbiego. To mój syn i bardzo go kocham.

- To również mój syn. - Wstał. - Dziś go odnalazłem. Wreszcie los się do mnie uśmiechnął. Chłopiec jest McKendrickiem. Moim synem i dziedzicem. Powinien mieszkać na Wzgórzu Koronacyjnym. Ta farma to jego dziedzictwo.

Jej ciemne oczy ciskały gromy.

- Jest także moim dziedzicem! W jego żyłach płynie również krew Romanów! Myślisz, że pozwolę ci odebrać mi dziecko? Zwariowałaś? Jak to sobie wyobrażasz? Najpierw musiałbyś mnie zabić!

- Nie zamierzam cię zabić, Gino - oznajmił chłodno Cal, ściskając ją za nadgarstek. - Wolę się z tobą ożenić.

Zakreśliło się jej w głowie.

- Bo urodziłam twoje dziecko? - zawołała gniewnie. - Przedtem nie byłam dla ciebie dość dobra! - Wyszarpnęła rękę. - Małżeństwo... to kompletnie bez sensu!

Kucnął przed fotelem, na którym siedziała.

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedział cicho, ale na jego twarzy malowała się determinacja. - Chcę, żeby mój syn dorastał w pełnej rodzinie, żeby miał ojca i

matkę. Czyli nas, ciebie i mnie. Bo chyba nie powiesz mi, że jesteś z kimś związana i że ten człowiek gotów jest zaopiekować się cudzym dzieckiem? Zresztą wcale bym na to nie pozwolił. Wystąpiłbym na drogę sądową. Wątpię, żeby sąd łaskawym okiem patrzył na twoje zachowanie. W rodzinie Romano lubicie znikać, prawda? Najpierw Sandro, potem ty. Wyłumacz mi: jak to możliwe, że kobieta, która rzuca się pod samochód, aby ratować cudze dziecko, nie ma odwagi wyznać kochankowi prawdy?

Siedziała z nisko pochyloną głową. Ich twarze dzieliło zaledwie parę centymetrów.

- Okłamywałeś mnie nawet wtedy, kiedy się kochaliśmy...

Westchnął zniecierpliwiony, po czym zaciskając palce na jej brodzie, zmusił Ginę, by spojrzała mu w oczy.

- Znakomita z ciebie aktorka! W każdym teatrze dostałabyś angaż! Tacy wy jesteście, Włosi. Umiecie grać na uczuciach. - Zamilkł. - Mówiłem ci, że cię kocham. Niczego nie byłem tak pewien w życiu. Ty to zniszczyłaś. Już nigdy ci nie zaufam. Ostatnie cztery lata tylko cię nienawidziłem!

- Ja ciebie też. I na nienawiści mamy zbudować małżeństwo? - Cholera jasna! Jego bliskość za bardzo ją rozpraszała. - A twoja wspaniała rodzina? Wtedy mnie nie akceptowała, a teraz zaakceptuje? Oczywiście pomijam twoją siostrę Meredith.

Wstał i wzdrygnął się z obrzydzeniem.

- Nie wykręcaj kota ogonem. Po prostu przyznaj, że chciałaś się zabawić, zanim wrócisz do domu, żeby poślubić narzeczonego, którego *Papa* i *Mamma* dla ciebie wybrali.

- A ty? Nie zamierzałeś po powrocie do domu pojąć Kym za żonę? - Oczylniły jej z gniewu. - Czyli oboje kłamaliśmy. - O planowanym ślubie Cała wiedziała od jego ciotki, ale na razie nie chciała jej do tego mieszać.

- I oboje kiepsko na tym wyszliśmy. Ja zerwałem zaręczyny, a twoje plany małżeńskie też spełzły na niczym. Ale muszę powiedzieć, że macierzyństwo ci

służy. - Oznajmił to takim tonem, jakby dawniej była brzydkim kaczątkiem. - Nie-  
winne dziewczę przeobraziło się w piękną kobietę. Swoją drogą, nie odpowiedzia-  
łaś na moje pytanie, czy jesteś z kimś związana. Choć to i tak bez znaczenia.

Czuła bolesny ucisk w piersi. Przed laty kochała tego mężczyznę najbardziej  
na świecie.

- Mówisz poważnie? Że poślubisz mnie choćby siłą?

- Zgadza się.

Na moment zaparło jej dech.

- Jeśli się nie mylę - ciągnął Cal - twoi rodzice też nie pobrali się z miłości?

Ich małżeństwo zostało zaaranżowane?

- Tak. I nie chciałabym być równie nieszczęśliwa, jak oni. - Posmutniała na  
wspomnienie domu rodzinnego.

- Byli nieszczęśliwi? O tym mi nie mówiłaś. Chyba że to kolejne twoje kłam-  
stwo?

- Zatem jestem znakomitą aktorką i niepoprawną kłamczuchą? - Zmierzyła go  
chłodnym wzrokiem.

- To zwykle idzie w parze. Jak się miewają tatusiek z mamuszką?

Wstrząsnął nią dreszcz.

- Ojciec nie żyje. Mama ponownie wyszła za mąż. Mieszka z mężem na No-  
wej Gwinei. Rzadko się widzimy.

Uniósł brwi.

- Szybko się pocieszyła?

- Próbuje nadrobić stracone lata - odparła krótko Gina. - Mój ojciec miał bar-  
dzo trudny charakter.

- Dlatego Sandro opuścił dom?

- Tak. Ojciec był wobec niego bardzo surowy, nieprzyjemny i niesprawiedli-  
wy.

- Z twoich opowieści miałem wrażenie, że ciebie wprost uwielbiał.

Czy ją uwielbiał? Raczej uwielbiał swoje wyobrażenie o idealnej córce. Córka w ciąży nie pasowała do tego obrazu.

- Milczysz? - Nagle zapragnął wziąć ją w ramiona.

- Nie życzę sobie, żebyś mnie dalej przesłuchiwał - oznajmiła. - Wy, McKendrickowie, jesteście okrutni.

Zabolały go jej słowa.

- Najpierw ich poznaj, a dopiero potem feruj wyroki.

- Wystarczy, że ciebie poznałam. Powtórzę jeszcze raz: nie sądzę, aby nasze małżeństwo miało szansę przetrwać.

Zmarszczył czoło, jakby zastanawiał się nad jej słowami.

- Zważywszy, że jesteś matką mojego syna, postaraj się, żeby jednak miało. Albo rób dobrą minę do złej gry.

- Psiakrew, Cal. Pragnę tego, co każda kobieta. Mężczyzny, który by mnie kochał, dzieci, domu. Ciebie i mnie nic nie łączy.

- Tylko syn. Nie zapominaj o nim. Oraz fakt, chyba się nie mylę, że nadal czujemy do siebie pociąg. Mógłby nas połączyć seks. Lepsze to niż nic, prawda?

- Przestań! - oburzyła się, choć Cal nadal wzbudzał w niej pożądanie. - Seks absolutnie nie wchodzi w grę!

- Pragnąłem cię do szaleństwa, Gino. Miałem takiego fioła na twoim punkcie, że nie byłem w stanie jasno myśleć. - Z trudem pohamował wrogość.

- Ale tylko o to ci chodziło, prawda? O moje ciało, nie o mnie.

- Co w tym złego? Ciało miałaś... masz fantastyczne. Seks z tobą to była rozkosz.

- Wielkie dzięki! Zapłaciłam za tę rozkosz.

- Nie ty jedna! Pomyśl o mnie. - Jego spojrzenie stało się lodowate. - Ile czasu potrzebujesz, żeby się przygotować do wyjazdu? Musisz złożyć w pracy wymówienie, uprzedzić w przedszkolu, że Robert nie będzie dłużej...

- Nie mogę! - Przycisnęła palce do skroni. - To jakieś wariactwo.

- Wariactwo? Mylisz się, moja droga. Wspólne życie na farmie to najlepsze rozwiązanie. Pogódź się z tym.

- Pogódź? Jak śmiesz... - Podniosła głos.

- Ciszej. - Wskazał głową w stronę sypialni.

- Nie rozkazuj mi w moim własnym domu! - syknęła przez zęby. - Zmieniłeś się, Cal.

- Zgadnij, czyja to zasługa - odparł. - Jeżeli chcesz, mogę ci obiecać, że nie tknę cię, dopóki nie będziesz gotowa.

- A dlaczego uważasz, że kiedykolwiek będę?

- Zróbmy małą próbę.

Poczuła niesamowity dreszcz podniecenia.

- Nie! Ja...

Podciągnął ją na nogi.

- Tym razem mi nie uciekniesz.

Ogarnęła ją wściekłość. I bezsilność. Przeszłość zlała się z terażniejszością.

- Przestań oskarżać mnie o ucieczkę - warknęła.

Wcale nie uciekła. Została zmuszona do wyjazdu. Przekonano ją, że to jedyne uczciwe wyjście.

- Bo co? - Utkwił spojrzenie w jej ustach. - Nie udawaj niewiniątka. Jesteś uwodzicielką. Nie musisz nic robić, wystarczy, że popatrzysz na mężczyznę... Pocałuj mnie.

- Nie... - Zakręciło się jej w głowie. Gdzie twoja duma, Gino? Nie ulegaj! Ale duma pozostawała głucha na głos rozsądku. - Szlag by cię trafił, Cal!

Zgarnął ją w ramiona. Miała wrażenie, że tam jest jej miejsce. Jak to możliwe, zastanawiała się, że po tylu latach, po tylu wylanych łzach, reaguje podnieceniem na każdy jego dotyk? Po chwili zmiążdżył jej usta w pocałunku. I nie, to nie była żadna próba, to był jak najprawdziwszy pocałunek, pełen żaru i namiętności.

Oboje ciężko oddychali. Przez moment wpatrywali się w siebie, po czym Cal

ponownie przytulił ją do piersi.

- A jednak wciąż iskrzy. - Jego zielone oczy lśniły triumfalnym blaskiem, jakby wygrał ważną potyczkę.

Nie mogła zaprzeczyć. Wiedziała jedno: żaden mężczyzna nie wywoływał w niej takich emocji.

- Łączy nas tylko seks - szepnęła.

- Fantastyczny seks.

Odszukał dłonią jej pierś i znów ją pocałował.

Czy kiedykolwiek uwolni się spod jego wpływu? Czy znajdzie spokój i szczęście? Tkwiła w niewoli jego ramion. Ale nie tylko. Głównie tkwiła w niewoli własnego serca.

Przez wiele godzin po wyjściu Cala leżała w łóżku i płakała. Wróciły wspomnienia z dzieciństwa: nieszczęśliwe małżeństwo rodziców; bezradność matki, która nie umiała sprzeciwić się mężowi, walczyć o siebie i bronić dzieci, zwłaszcza Sandra; napady szału ojca; zniknięcie Sandra po ostatniej koszarnej awanturze. Następnie pobyt na wyspie, gdzie najpierw przeżyła chwile szczęścia, a potem to szczęście jej brutalnie odebrano; przerażające odkrycie, że jest w ciąży; wygnanie z domu; poczucie straty i osamotnienia.

Nie poradziłaby sobie, gdyby nie pieniądze, które matka - łkając żałośnie, lecz nie mając odwagi stanąć w obronie córki - zabrała po kryjomu mężowi i wsunęła jej do walizki. Dalszą pomoc finansową Gina otrzymała od Rosy i Prima. Zresztą Rosa wspierała ją nie tylko finansowo, również psychicznie. Gina wiedziała oczywiście, że ojciec jej dziecka pochodzi z zamożnej rodziny, ale nie przyszło jej do głowy, żeby się z nim skontaktować. Była na to zbyt dumna.

Powoli odzyskała równowagę, stanęła na własnych nogach, ale pamięć o wielkim uczuciu i zdradzie odcisnęła na niej trwałe piętno. A teraz Cal McKendrick ponownie wkroczył w jej życie, wściekły, że zataiła przed nim fakt narodzin syna.

Czy naprawdę zasłużyła na potępienie? Może. Rozumiała jego ból, a zarazem lękała się jego wpływów. Cal nie zamierza się z nią patyczkować; uważa, że ma prawo do syna, a więc po części również do niej.

„Tym razem nie uciekniesz, Gino. Zrobisz to, co każę”.

Wstała z łóżka, żeby zdjąć mokrą poszewkę z poduszki. Spojrzała na budzik. Dziesięć po drugiej. Psiakość, rano musi wstąpić, wziąć prysznic, ubrać się, potem obudzić Robbiego, przygotować mu śniadanie, podrzucić brzdąca do przedszkola, następnie udać się do pracy i wykonać to, czego Cal zażądał: złożyć wypowiedzenie.

RS



## ROZDZIAŁ TRZECI

Spędzanie bydła do zagrody trwało cały dzień. Steve zamykał bramę, kiedy za placami usłyszał tętent. Zanim jeszcze obrócił głowę, wiedział, że zobaczy Meredith McKendrick. Zawsze wyczuwał jej obecność.

Od wielu godzin pomagała w pracy na farmie. Była to ciężka praca, ale Meredith nic sobie z tego nie robiła. Większość facetów się w niej podkochiwała. Oczywiście nawet się nie łudzili, że zdobędą serce jedynej córki Ewana i Jocelyn McKendricków.

- Uff, co za dzień. - Westchnęła.

- Odwaliłaś kawał dobrej roboty - rzekł Steve. Nigdy nie pozwalał sobie na żadną poufałość; starał się pamiętać, że rozmawia z córką szefa. - Masz jakieś wieści od Cala?

Zsiadła z konia. Steve zaczepił wodze o belkę ogrodzenia.

- Mnóstwo.

Byli ubrani podobnie, w dżinsy i bawełniane koszule. On miał na szyi czerwona bandanę, ona niebieską. Oboje - nisko nasunięty na czoło beżowy kapelusz. Mimo późnego popołudnia słońce ostro przygrzewało.

- Tajemnica?

Nie uśmiechnęła się, choć miała najpiękniejszy uśmiech na świecie.

- Powiem ci, bo wkrótce i tak się o wszystkim dowiesz. Ale na razie zachowaj to dla siebie.

- Dobrze.

Skinęła głową. Wiedziała, że może mu zaufać.

- Przejdźmy nad rzeczkę.

Nie odezwał się. Co miał powiedzieć? Że poszedłby z nią na kraniec świata? Mieszkał tutaj od dwóch lat; nie było dnia, by o niej nie myślał. Był po uszy zakochany w Meredith, ale na szczęście już w dzieciństwie nauczył się skrywać emocje.

Pracujący na farmie mężczyźni, których uwadze nic nie uchodziło, niczego nie podejrzewali. Tylko Tom, stary zarządca, mruknął do niego przed odejściem na emeryturę:

- Poradziłbyś sobie, synu, z McKendrickówną. Zaryzykuj.

Zaryzykowałby, ale nie miał nic, co mógłby ofiarować takiej dziewczynie jak ona, nawet nazwiska. Wszystko, psiakość, przez Lancastera! Niełatwo czarnowłosemu dziecku dorastać w rodzinie blondynów. Oczy Lockhartów były niebieskie; jego brązowe. A oczy zawsze zdradzają prawdę. Meredith miała oczy McKendricków, niebieskie, czasem wpadające w fiolet. Cal zaś odziedziczył oczy po matce: zielone, w kolorze szmaragdu. Natomiast Steve już jako dziesięcioletek odkrył, że karnację ma po Gavinie Lancasterze, a nie po żadnych babkach czy ciotkach.

Pamiętał, jak kiedyś siedział skulony na werandzie. Prawda wyszła na jaw. W sypialni matka zanosila się szlochem, podczas gdy Jim Lockhart urządzał jej awanturę. Oczywiście nikt nie mógł podskoczyć Gavinowi, ale tak wpływowy człowiek jak Gavin Lancaster mógł uprzykrzyć życie komuś takiemu jak Jim Lockhart.

Steve miał dwóch braci przyrodnich i jedną siostrę. Dawno temu całą rodziną przenieśli się do Nowej Zelandii. Nie chcieli żyć tu, gdzie rządził Gavin.

Na miejscu pozostał tylko Steve. Nie zamierzał porzucić ukochanej ziemi. Nikt go do tego nie mógł zmusić, na pewno nie człowiek, który go spłodził.

Szedł za Meredith w stronę wartko płynącej rzeczki, deptając po drodze setki maleńkich kwiatków.

- O, tu usiądźmy. - Dziewczyna opadła na miękki złocisty piasek i zrzuciła z głowy kapelusz, uwalniając włosy.

Usiadł obok niej w przyzwoitej odległości.

- Cal ma problemy? - Popatrzył na nią z ukosa.

Meredith utkwiała spojrzenie w rzeczce, która w porze opadów potrafiła przeobrazić się w dużą rwącą rzekę. Promienie popołudniowego słońca połyskiwały w

gładkiej tafli.

- Ufam ci, Steven. Cal też ci ufa.

Ona jedna mówiła do niego Steven, a nie Steve.

- Cokolwiek mi powiesz, pozostanie między nami.

- Wiem. - Skinęła głową. - Chociaż wkrótce sprawa i tak wyjdzie na jaw.

Chodzi o kobietę.

- Zwykle chodzi o kobietę.

- Wszystko zaczęło się cztery lata temu. Moja rodzina i przyjaciele pojechali na długie wakacje do prywatnego, luksusowego ośrodka na wyspie przy Wielkiej Rafie Koralowej. Ośrodek należy do kumpla mojej ciotki. Na wyspie była tylko nasza grupa. Zresztą wyspa jest niewielka, ma miejsca dla trzydziestu gości. Była tam piękna młoda dziewczyna, Gina, która podczas przerwy semestralnej pracowała jako pokojówka i kelnerka. Cal zakochał się w niej na zabój. Moim zdaniem z wzajemnością. Dosłownie promienieli szczęściem.

- Ale los się od nich odwrócił?

- Niestety tak. Gina bez słowa wyjaśnienia opuściła wyspę. Cal był załamany.

Mnie też słowem nie zdradziła swoich planów, mimo że byłyśmy zaprzyjaźnione. Jediną osobą, z którą rozmawiała, była moja ciotka.

Przemądrzała, zadzierająca nosa ciotka Lorinda. Steve popatrzył na przeciwny brzeg, na którym między drzewami kwitły śliczne czerwone kwiatki. Była taką samą snobką jak wszyscy McKendrickowie z wyjątkiem Cala i Meredith, którzy nie odziedziczyli po przodkach tej brzydkiej cechy.

- Powiedziała ciotce, że z Calem to nie była miłość, tylko szalony romans - ciągnęła Meredith. - Wcale nie wyglądało to na żaden romans. W każdym razie Cal nigdy tego Ginie nie wybaczył, ale nigdy też o niej nie zapomniał.

- Mimo to zaręczył się z Kym Harrison?

Meredith oblała się rumieńcem.

- Popęłnił błąd. Rodzice wywierali na niego nacisk...

- No to ma duży problem - rzekł z przekąsem Steve.

Przyjrzała mu się badawczo. Steven Lockhart był przystojnym facetem, wysokim, o piwnych oczach, czarnych jak smoła włosach i regularnych rysach twarzy. Sprawiał wrażenie człowieka dumnego, który zna swoją wartość.

- On też cię bardzo ceni.

- Ale wasz ojciec najchętniej by się mnie pozbył.

Co mogłaby powiedzieć? Nie wie, dlaczego tata się tak zachowuje? Może zauważył, jak ona, Meredith, rzuca Steve'owi ukradkowe spojrzenia?

- Nie pozbędzie się, przynajmniej dopóki Cal tu rządzi - zapewniła go. - Jak wiesz, ojciec przekazał Calowi stery, a sam przeszedł na emeryturę. Cal zaś nie ma powodu cię zwalniać. Przecież całą farmę zostawił na twojej głowie.

Obróciwszy się, posłał jej ciepły uśmiech.

- A nie na twojej?

- Na mojej? - Roześmiała się. - Nie żartuj. Ja tu nie mam nic do gadania. Chociaż nie, nieprawda. Wykonuję robotę papierkową.

- I robisz to tak, jakby ta cała biurokracja nie wymagała żadnego wysiłku. - Nieświadomie powtórzył słowa Cala. - Jak ktoś nie jęczy i nie narzeka, ludzie nie doceniają jego pracy. Ale wróćmy do tej historii z Calem. Rozumiem, że w życiu osobistym twój brat nie jest szczęśliwym człowiekiem?

- A znasz takich? - spytała, poważniejąc. - To znaczy szczęśliwych ludzi? Ty jesteś?

Tak, odkąd poznałem ciebie, miał na końcu języka, ale nie mógł tego powiedzieć.

- Owszem, kiedy siedzę tu z tobą - rzekł po chwili. - Więc nagły wyjazd Cala ma związek z tą dziewczyną?

- Tak. Postanowił ją sprowadzić.

- Tu? Na Wzgórzu Koronacyjne? - zdumiał się Steve. - Czyli po latach się pogodzili?

- To nie wszystko.

- A co jeszcze? - Podniósł z ziemi kamyk i puścił go po wodzie; kamyk odbił się trzy razy od powierzchni, zanim opadł na dno.

- Gina urodziła dziecko. Mały ma na imię Robbie.

- I jest synem Cala - dokończył Steve.

Meredith wzięła głęboki oddech.

- Tak. Cal twierdzi, że są jak dwie krople wody. To znaczy Robbie i Cal, gdy był w jego wieku. Chłopiec nawet ma jego zielone oczy. Cal chce się ożenić z Giną.

- Jak znam Cala, to osiągnie swój cel. A co o tym wszystkim sądzą twoi rodzice? - Podejrzewał, że McKendrickowie wciąż liczą na małżeństwo syna z Kym Harrison, która była całkiem miłą dziewczyną, lecz zupełnie nie nadawała się na żonę dla Cala.

- Jeszcze o niczym nie wiedzą - odparła z zaskoczeniem Meredith. - Przeżyją szok.

Steve podniósł kolejny kamyk. Musiał czymś zająć ręce.

- A ty? Jak się z tym czujesz? Nagle okazuje się, że masz bratanka...

Wzdychając cicho, położyła się na piasku i wbiła wzrok w niebo.

- Ja? Rozpiera mnie radość. Nie mogę się doczekać, żeby poznać Robbiego. I uściskać znów Ginę. Cal nigdy nie przestał jej kochać. Kiedy z nim rozmawiałam... był oszołomiony faktem posiadania syna, ale i szczęśliwy. On bardzo pragnie mieć rodzinę.

Steve podrapał się po brodzie. Starał się nie patrzeć na wyciągniętą obok postać, na jej piersi, biodra, na wcięcie w tali i długie szczupłe nogi. Weź się w garść człowieku, powtarzał sobie w myślach. Z drugiej strony... Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że gdy tak leży, to sama dla siebie stwarza zagrożenie? Z trudem panował nad pożądaniem. Przy innych kobietach był rozluźniony, przy Meredith czuł się jak kocur na gorącym blaszanym dachu.

- Dlaczego się nie przyznała? - spytał, próbując zmienić sobie nastrój. - Nie wyobrażam sobie, aby Cal się od niej odwrócił. - Takie zachowanie pasowało do Gavina, nie do Cala. - Nie wiem, czy potrafiłbym wybaczyć kobiecie, która wycięłaby mi taki numer. Stracić kilka lat z życia swojego dziecka... Mały ma... ile? Trzy latka?

- Muszą sobie wszystko na spokojnie wyjaśnić - oznajmiła Meredith. - W żyłach Giny płynie włoska krew. Jej rodzice emigrowali do Australii. W północnej części Queenslandu kupili farmę. Ona... jest bardzo piękna.

- Piękniejsza niż ty? - Cholera, dlaczego to powiedział? Unikał poruszania spraw osobistych. Stanowiły tabu.

- O, zdecydowanie. - Zaczerwieniła się.

Steven Lockhart od dawna się jej podobał. W wieku dwudziestu ośmiu lat został zarządcą jednej z największych w kraju farm specjalizujących się w hodowli bydła. Doskonale zarabiał. Czekąca go wspaniała przyszłość, pod warunkiem że nie narazi się Ewanowi McKendrickowi.

Przymknęła powieki. Teraz mógł się jej swobodnie przyjrzeć. Miała gładką brzoskwiniową cerę o lekkich rumieńcach na policzkach i uroczy dołeczek w brodzie. Uwielbiał ten dołeczek, a także jej pięknie zarysowane usta. Marzył o tym, by je pocałować. Pragnął wsunąć ręce w jej zaplecione włosy, uwolnić je z warkocza...

- Nie lubisz słuchać komplementów? - spytał.

Zaskoczona otworzyła oczy.

- Nie z twoich ust - odparła szybko.

Odwrócił wzrok.

- Rozumiem. Powinienem pamiętać, gdzie jest moje miejsce. - Miał ochotę dać jej nauczkę, której długo by nie zapomniała, a przy okazji zaspokoić własne pragnienia. Z trudem się powstrzymał.

- Nie, nie rozumiesz. - Usiadła. - Przepraszam. Nie chciałam cię urazić. Po prostu rzadko bywamy sami, tylko we dwoje. I trochę się denerwuję. W każdym

razie chciałam powiedzieć, że my... że nic z tego nie wyjdzie.

W jego piwnych oczach płonął ogień.

- Na nic nie liczę - oznajmił chłodno.

W geście pojednania wyciągnęła rękę, ale nie dotknęła go. Bała się kontaktu fizycznego, własnej reakcji.

- Sprawiałam ci przykrość...

- Nic mi nie jest, nie przejmuj się. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Groźny samiec już znikł, został tylko bezpłciowy pracownik. To powiedz mi, kiedy wracają? - spytał, zmieniając temat.

Zacisnęła zęby.

- Cal w sobotę. Gina z Robbiem dojadą później.

I McKendrickowie o niczym nie wiedzą? Taki numer może im wyciąć tylko Cal.

- Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży - rzekł Steve.

Cal McKendrick był nie tylko jego szefem, ale i przyjacielem.

- To miłe, co mówisz. - Meredith uśmiechnęła się.

I nagle poczuła, jak łzy podchodzą jej do gardła. Psiakrew, nigdy nie płakała. Jako dziewczynka nauczyła się hamować płacz.

- Bo jestem miły. - Wykrzywił ironicznie usta.

- Miły? - Pokręciła głową. - Na pewno szlachetny i na pewno skomplikowany. Nie było ci w życiu lekko.

- A tobie było? - Uniósł pytająco brwi. - Walę dziś prosto z mostu - mruknął sarkastycznie.

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie; chciała poznać go lepiej, lecz wiedziała, że jest wyjątkowo skryty.

- Musiało ci być bardzo ciężko, prawda? - spytała łagodnie. - To znaczy, kiedy odkryłeś prawdę o Lancasterze.

Tak długo milczał, że zwątpiła, czy kiedykolwiek otrzyma odpowiedź.

- Nie chcesz o tym mówić, tak? Rozumiem. I przepraszam, że wściubiam nos w nie swoje sprawy.

- Ależ nie! Po prostu zdziwiłem się, że to cię interesuje. - Ni stąd, ni zowąd, ujrzał przed oczami siebie, Meredith i ich dziecko. Zacisnął powieki.

- Oczywiście, że interesuje. Przecież cię lubię.

- Jakaś ty łaskawa.

- Wolisz się ze mnie naigrawać?

- Czasem wolę - przyznał. - To mi pomaga. A odpowiadając na twoje pytanie: kiedy dowiedziałem się, że jestem synem Lancastera, miałem dziesięć lat. Jim Lockhart, którego dotąd uważałem za ojca, zawsze patrzył na mnie podejrzliwie. Matka tłumaczyła mu, że ciemne włosy i śniada cera zdarzały się w jej rodzinie. Sama była blondynką, rodzeństwo mam jasnowłose, tylko ja jeden... Podobno matka wpadła w oko Lancasterowi. Była, do dziś jest bardzo atrakcyjną kobietą. Twierdziła, że ją zgwałcił. - Steve roześmiał się gorzko. - Oczywiście to kłamstwo. Powiedziała tak ze względu na biednego Jima, ale nawet on w to nie uwierzył. Lancaster nie musiał gwałcić. Mógł mieć każdą kobietę. Mama kochała Jima, ojca jej trojga dzieci, ale pójscie do łóżka z Lancasterem było jak przespanie się z pogańskim bogiem. Nie sądziła, że zajdzie w ciążę.

- I się stało.

- Najwyraźniej, skoro się urodziłem. Tak bardzo jesteśmy do siebie podobni, że nawet nie trzeba robić badań DNA. W każdym razie rodzice przenieśli się do Nowej Zelandii, gdzie mieszkają krewni Lockharta. Czasem się do mnie odzywają.

- Kiedy wyjechali? - Smutek przeppełnił jej serce. - To znaczy, kiedy zostałeś sam?

- W wieku czternastu lat. Mama wyjaśniła mi, że nie może mnie zabrać, bo Jim by tego nie wytrzymał i pewnie rozpadłoby się ich małżeństwo. Przez trzy lata chodziłem do szkoły z internatem. Sporo za nią bulili. Skończyłem szkołę i zostałem pomocnikiem na farmie.



- Który szybko awansował na stanowisko zarządcy. A czy... kiedykolwiek rozmawiałeś z Lancasterem?

- Nie. Wolałem nie ryzykować. - Ogarnęła go wściekłość. - Nienawidzę tego faceta. Wielki Gavin Lancaster, sławny hodowca i bogacz, w rzeczywistości jest tchórzem i mięczakiem. Któregoś dnia staniemy twarzą w twarz i wtedy...

- Nie potrzebujesz go, Steven - powiedziała szybko. - Do wszystkiego dojdziesz sam. Osiągniesz sukces.

- Wiem. - Wierzył w swoje umiejętności. - To dziwne, mam mnóstwo rodzeństwa, jednego brata Lancastera, dwóch Lockhartów, przyrodnią siostrę, ale nie czuję się z nimi związany. Najbliższy jest mi Cal.

Meredith pomyślała o porzuconym czternastoletnim chłopcu, którego rodzina rozpoczyna nowe życie w obcym kraju.

- Daj rękę - poprosiła cicho.

Wyprostował się.

- To chyba nie najlepszy pomysł - ostrzegł ją, zwijając dłonie w pięści.

- Chciałabym, żebyś uważał mnie za swoją przyjaciółkę. Mówiłam ci, że darzę cię ogromną sympatią i...

Nie zdołała dokończyć zdania. Przeklinając pod nosem, Steve chwycił ją w ramiona i przyciągnął do siebie. Leżała na nim, wpatrując się w jego płomienne oczy.

- Nie prowokuj mnie, Meredith.

Nie prowokuj? To nie było jej zamiarem.

- Ależ Steven, ja wcale nie... - Urwała.

- Zatem powinnaś być bardziej ostrożna.

Pożerał ją wzrokiem. Po plecach przebiegł jej dreszcz. Serce biło jak oszalałe. Kilka razy wyobrażała sobie taką scenę: że leżą razem i się całują. A jeśli rzeczywistość nie dorówna marzeniom? Jeśli prawdziwy pocałunek okaże się...

Przywarł ustami do jej warg. Zakręciło się jej w głowie. Czowała na policzku

drapanie. Szorstkość zarostu, pomyślała podniecona. Tulił ją z całej siły, obsypywał pocałunkami, jakby ona jedna potrafiła ukoić jego ból.

Rzeczywistość przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Meredith miała wrażenie, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Za chwilę pozbęda się ubrań, położą na ciepłym, złocistym piasku. Bluzka opadła jej z jednego ramienia... Słyszała łomot serca. Swojego? Stevena? Cudowny zapach męskiego ciała wdzierał się w nozdrza. Zapach ciepła, skóry, ostrych przypraw...

- Wiesz, jaka jesteś piękna? - szepnął.

Rozpuścił jej włosy. Lśniące, pachnące szamponem otulały jej twarz.. Owijając wokół ręki gęste pasmo, zbliżył je do nosa. Cały dzień spędziła w siodle, od rana do tej pory pracowała, a pachniała czysto i świeżo. Jak zwykle.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak słaba i bezwolna. Jakby ciało miała pozbawione kości. Nawet gdyby chciała, nie dałaby rady wstać; a gdyby wstała, nie zdołałaby utrzymać równowagi. Nie próbowała się bronić, odpychać dłoni Stevena. Ich dotyk ją podniecał. Płonęła. Z trudem powstrzymywała krzyk. Nigdy dotąd czegoś takiego nie doświadczyła. Nie była dziewicą; wiedziała, co to rozkosz, ale dawna rozkosz nie umywała się do tej, którą teraz przeżywała. Żaden mężczyzna nie był jej tak bliski.

A przecież nie kochali się ze Stevenem, tylko całowali! Prąd przebiegł jej po całym ciele. Odruchowo ścisnęła uda, choć chciała je rozewrzeć. Nieświadoma tego, co robi, wbiła paznokcie w plecy Stevena. Zamknęła oczy. Nagle pod powiekami ujrzała feerię migoczących gwiazd.

Łatwiej ugasić płomień niż pożogę, ostrzegał ją wewnętrzny głos. Zignorowała go. Nie była w stanie o czymkolwiek myśleć.

Meredith, tracisz panowanie. Weź się w garść! Tym razem głos miał siłę krzyku. Uzmysłowała sobie, że jeśli za daleko się posuną, może zajść w ciążę. Od dawna nie brała pigułek. Wbrew sobie powstrzymała dłoń Steve'a.

- Nie... - Zabrzmiało to niemal jak skowyt.

Przez moment, który zdawał się wiecznością, myślała, że nie posłucha jej sprzeciwu. Nie powinna była pozwolić na to, aby sytuacja tak bardzo wymknęła się spod kontroli. Ale... Boże, co za rozkosz przeżyła! Poza tym dowiedziała się o sobie kilku rzeczy, o których wcześniej nie miała pojęcia. Choćby tego, jak bardzo pragnie Stevena.

Z głębi jego trzewi dobył się przeciągły jęk. On ma ją teraz puścić? Tak po prostu? Czy kobiety nie rozumieją, że mężczyzna nie potrafi się wyłączyć jak za naciśnięciem guziczka? Że... Przerwywając pieszczoty, wtulił twarz w jej szyję. Miał ochotę wyć.

- Nie wiem, co powiedzieć - mruknął.

- Nic nie musisz mówić - szepnęła.

Czuła się tak, jakby byli odgradzeni od reszty świata.

- Wystraszyłem cię? - Uniósł głowę i popatrzył jej w oczy.

- Troszkę - przyznała. - Sama siebie też się wystraszyłam.

- Widzisz, co się dzieje, kiedy chcesz mnie potrzymać za rękę? - Roześmiał się cicho.

- To było do przewidzenia. Ale, jak mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże. - Przytknęła czoło do jego czoła. - Lubię cię, Steven. Może nawet bardziej niż lubię. Zależy mi na tobie.

Tym razem się nie oburzył ani nie próbował żartować. Czuł dreszcze, które wstrząsnęły jej ciałem. Widział emocje, które malowały się na jej twarzy. Ba, sądził, że niesiona pożądaniem pozwoli mu zedrzeć z siebie ubranie, dotykać się wszędzie, badać każdy skrawek jej ciała.

- Gdyby ktoś nas zobaczył i doniósł twojemu ojcu, jeszcze dziś musiałbym opuścić farmę - powiedział. - Nawet Cal nie zdołałby mnie uratować.

- Ale ja bym zdołała - rzekła Meredith, całując go w powiekę. Wstąpiła w nią nowa siła. - Ojciec ciągle się wtrąca w moje sprawy. Diabli wiedzą dlaczego. To Cal jest ulubieńcem rodziców. To jego kochają, nie mnie.

- Chyba mają nie po kolei w głowie - mruknął Steve, wyraźnie zdegustowany.

- Jak można nie kochać tak fantastycznej córki?

Tym razem pocałowała go w policzek.

- Powinnam wracać do domu.

Życie toczy się dalej, przemknęło jej przez myśl. Podniecenie ustąpiło miejsca rzeczywistości. Musi na spokojnie zastanowić się, co dalej, na czym tak naprawdę jej zależy. Czy ta burza uczuć, która wstrząsnęła nią niczym potężna wichura, ogranicza się wyłącznie do sfery erotycznej, czy może jednak sięga głębiej?

Jeden pocałunek może odmienić życie. Dziwne, lecz prawdziwe.

Jej rozpuszczone włosy powiewały na wietrze.

- Przez ciebie jestem potargana - powiedziała z uśmiechem.

- Gdybyś mogła się teraz zobaczyć w lustrze... - Przyglądał się, jak zapiąwszy bluzkę, Meredith zaplata warkocz. - Co z nami będzie? - spytał, poważniejąc. - Chyba nie masz już wątpliwości, co do ciebie czuję. Wszystko się zmieniło, prawda?

Zarzuciła warkocz na plecy. Podjęła decyzję: nie będzie niczego przed nim ukrywać.

- Chcę być z tobą, Steven. Z nikim innym.

Skinął głową, jakby usłyszał ważne wyznanie.

- Krążą plotki, że twoi rodzice pragną, abyś poślubiła McDermotta.

Otrzepała ubrania z piasku.

- Mogą sobie pragnąć.

- Facet ma wiele do zaoferowania - ciągnął Steve. - Pochodzi z bogatej rodziny, jest przystojny, sympatyczny, świetnie gra w polo.

- Może. Ale ja go nie kocham. - Nie przyznała się, że Shane McDermott dwukrotnie się jej oświadczył, a ona mu dwukrotnie dała kosza.

Steve wstał, podciągnął ją na nogi i mocno przytulił.

- Dałbym ci gwiazdkę z nieba.

- Mmm, zapamiętam.

Przez chwilę tkwili nieruchomo, potem on opuścił ręce, a ona schyliła się po leżący na ziemi kapelusz. Nasunęła go na czoło. Pieszczoty i pocałunki bardzo ich zbliżyły. Odmieniły wszystko: jej pragnienia, tęsknoty, nadzieje. Zaczęła marzyć o rzeczach, z których wcześniej gotowa była zrezygnować.

- Wiesz co? Niczego nie przyspieszajmy. Po prostu żyjmy z dnia na dzień. - Wiedziała, jak ostro zareagują jej rodzice, jeśli im wyzna, co czuje do Stevena Lockharta. - Dobrze? - Szukała w jego oczach zrozumienia. - Możemy być razem widywani. To mi nie przeszkadza. Nie chcę bawić się w żadne podchody.

Czekała nerwowo na jego odpowiedź. A nuż się wycofa? Skinął głową.

- W porządku. Zresztą McKendrickowie będą mieli dość wrażeń, kiedy na farmie zjawi się Gina z ich wnukiem.

- Na pewno o tym usłyszysz - obiecała mu.

Wiedziała, że zmiana uczuć będzie wiązała się ze zmianą zachowania. Ona, Meredith, musi wyjść ze skorupy, wyciągnąć do Stevena rękę. Był człowiekiem dumnym, nie zechce narażać się na kolejne odrzucenie.

Odetchnęła z ulgą, kiedy ponownie skinął głową.

- Myślę, że decyzja Cala i Giny będzie miała wpływ na nas wszystkich.

Dopiero gdy odjechała i został sam, Steve usłyszał wewnętrzny głos, który szeptem dawał mu rady, upominał go, ostrzegał. Pamiętaj, kim jest Meredith.

Ale przecież nie broniła się, kiedy wziął ją w ramiona. Pociągał ją tak samo, jak ona jego. Nie miał co do tego cienia wątpliwości. Oboje gotowi byli ulec pożądaniu. A zasady obowiązujące w domu McKendricków? Cal pierwszy je złamał. Nawet jemu przyszło to z trudem. O ileż więcej samozaparcia będzie musiała wykazać Meredith.

Kiedy kwadrans przed siódmą Meredith - w sukience, dzinsy były niedozwolone podczas wieczornego posiłku - zeszła na dół na kolację, którą podawano

punktualnie o dziewiętnastej, matka pomachała do niej.

- Jesteś, kochanie? Pozwól na chwileczkę. - Ruszyła do biblioteki, zostawiając za sobą zapach drogich perfum.

- Coś się stało, mamó? - spytała Meredith, zamykając drzwi. Znajdowały się w ogromnym pokoju zastawionym regałami od podłogi po sufit.

Meredith kochała książki; nie wyobrażała sobie życia bez nich. Chciała, z pomocą stryja Eda, zrobić w bibliotece porządek, skatalogować wszystkie pozycje, ale wiedziała, że jej sugestia spotka się ze stanowczym sprzeciwem.

„Nie zawracaj głowy, kochanie. Kiedy uznam to za konieczne, zatrudnię profesjonalistę. Kogoś, kto będzie się znał na rzeczy”. To słowa jej ojca szowinisty.

Spokój biblioteki podziałał na nią kojąco.

Matka uniosła cienkie, starannie wydepilowane brwi.

- Nie, nic się nie stało. A co się miało stać? Po prostu chcę zaprosić Kym na weekend. - Jocelyn McKendrick usiadła w dużym fotelu i wskazała córce drugi fotel. - Pomyślałam sobie, że może ty chciałabyś zaprosić Shane'a. - Uśmiechnęła się ciepło. - Bądź co bądź lat ci nie ubywa. Najwyższa pora, żebyś wyszła za mąż, ustatkowała się. Dzieci należy rodzić w młodym wieku.

- Mamó, mam niecałe dwadzieścia sześć lat - oburzyła się Meredith.

- To wcale nie tak mało.

- Ale do starości mi daleko. Zresztą chyba o czymś zapomniałaś.

- Tak? O czym? - Jocelyn przyłożyła rękę do potrójnego sznura dużych lśniących pereł, bardzo drogich, które dostała w prezencie ślubnym od męża. Rzadko się bez nich gdziekolwiek ruszała, choć niekiedy bywały przysłonięte kołnierzykiem lub swetrem.

- Tata specjalizuje się w odstraszeniu wszystkich moich potencjalnych adoratorów - oznajmiła Meredith i westchnęła ciężko. Przecież matka dobrze o tym wie. W dodatku popiera męża.

- Och, nie bądź śmieszna! - Jocelyn utkwiała wzrok w swoich szczupłych

kostkach. Miała młodzieńczą figurę, z której zawsze była bardzo dumna. - Przepędza jedynie łowców posagów, a Shane do nich nie należy.

- To prawda. Należy do ludzi naszego pokroju - przyznała drwiącym tonem Meredith. - Przykro mi, że muszę cię rozczarować, mamó, ale na pewno nie zwiążę się z Shane'em. Lubię go, cenię jako przyjaciela, ale nie jestem i nigdy nie będę w nim zakochana.

Zielone oczy Jocelyn rozbłysły gniewem. Jeśli czegoś nienawidziła, to tego, gdy ktoś próbował udaremnić jej plany.

- A kto mówi o miłości? - spytała ostro. - W małżeństwie są rzeczy znacznie ważniejsze. Miłość bywa ulotna; trzeba koncentrować się na innych wartościach, tych bardziej trwałych. Ważne jest podobne pochodzenie, wspólne zainteresowania, sympatia, szacunek. No i przyjaźń. Nie tylko między małżonkami, również między ich rodzinami. Powinnaś wiedzieć, że...

- Kochałaś tatę, kiedy za niego wychodziłaś? - przerwała matce Meredith, zastanawiając się, czy łatwo pokochać tak apodyktycznego człowieka jak Ewan Kendrick.

- Oczywiście, że tak! - oburzyła się Jocelyn. - Jak możesz w to wątpić? Nadal się kochamy.

Meredith skinęła głową. Na swój sposób chyba faktycznie się kochali.

- Jesteśmy też najlepszymi przyjaciółmi. We wszystkim się zgadzamy. I bardzo nam się poszczęściło: mamy wspaniałego syna, którego inni mogą nam tylko pozazdrościć. I mamy ciebie. Jesteś piękną młodą kobietą. A raczej mogłabyś nią być, gdybyś bardziej o siebie zadbała. Weź przykład z Kym. Ona zawsze znakomicie się prezentuje. A ty? Nic tylko dzinsy i włosy zaczesane do tyłu.

Meredith odgarnęła za ucho kilka luźnych kosmyków.

- No proszę, a ja się tak staram. Nie sądzisz, mamó, że kiedy się pracuje na farmie, trudno nosić sukienki? A Kym, jeśli cię to interesuje, często mówi, że chciałby tak wyglądać jak ja.

Z małego okrągłego stolika po swojej prawej ręce Jocelyn podniosła osiemnastowieczną figurkę z porcelany miśnieńskiej, po czym delikatnie odstawiła ją na miejsce.

- Fakt, sama ma kształt gruszki - przyznała z uśmiechem. - Ale co z tego? Posłuchaj, zaprosimy oboje, Kym i Shane'a. Daj chłopakowi szansę, kochanie. Ojciec na pewno nie będzie próbował go przegonić. Już z nim rozmawiałam.

Meredith splotła dłonie. Spojrzawszy na nie, pomyślała, że powinna częściej wykonywać manikiur. Zwłaszcza teraz, kiedy chciała się podobać. A przynajmniej powinna smarować je kremem.

- Moim zdaniem, mamó, zapraszanie gości na ten weekend nie jest dobrym pomysłem. Cal wcale nie ucieszy się, jak po powrocie do domu zostanie Kym. Przestań się wreszcie łudzić, że się z nią ożeni.

Popatrzyła na matkę współczującym wzrokiem. Jocelyn zawsze dostawała to, czego pragnęła. Może dlatego tak trudno było jej się pogodzić z myślą, że Kym nie zostanie jej synową. Obie z Beth Harrison od lat marzyły o tym, że ich dzieci się pobiorą, że połączą się dwie rodziny, Harrisonów i McKendricków, a z czasem również połączą się ich farmy.

- Łudzić? - Jocelyn potrząsnęła głową. - Kym idealnie pasuje do Cala.

- Kym idealnie pasuje do ciebie - poprawiła matkę Meredith. - A to duża różnica. Cal zerwał zaręczyny; nie chce żenić się z Kym. Proszę cię, nie zapraszaj jej. Twoja niespodzianka na pewno go nie ucieszy. Zresztą może sam będzie miał dla was parę niespodzianek.

Jocelyn wyprostowała się, zmarszczyła czoło.

- Niespodzianek? Próbujesz mi coś zasugerować? Chyba nie chcesz powiedzieć, że Cal ma kogoś?

- Poczekaj, aż wróci do domu. Sam ci o wszystkim opowie.

- O wszystkim? To znaczy o czym? - Popatrzyła córce w oczy. - Przecież wiesz, że nienawidzę niespodzianek. Lubię wiedzieć, co się dzieje.



Meredith podeszła do fotela, na którym matka siedziała, i położyła rękę na jej ramieniu.

- Mamo, Cal ma dla was ważną wiadomość, ale nie mogę ci nic zdradzić. Wróci w sobotę. Musisz uzbroić się w cierpliwość.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Siedzieli w jadalni przy długim stole z mahoni, słuchając wiadomości, którą Cal im przekazywał. Palił się tylko jeden żyrandol, ale pokój i tak tonął w świetle. Na co dzień korzystali z innej, mniejszej jadalni; ta, w której się znajdowali, używana była wyłącznie podczas ważnych uroczystości.

Cal mówił prosto, w sposób niezwykle wzruszający o tym, co czuje. Chciał przekonać rodziców, jak duże wrażenie wywarła na nim Gina Romano. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Od tej pory żadna inna kobieta się dla niego nie liczyła. Oczywiście nie zamierzał się przyznawać, że przyjazd Giny na farmę został na niej wymuszony. Mówiąc, patrzył po twarzach swoich bliskich. Chyba był przekonujący, bo Meredith siedziała z błogim uśmiechem, zachwycona informacją, którą usłyszała. Och, gdyby tylko Steven darzył ją takim samym uczuciem jak Cal Ginę...

Reszta rodziny przyjęła wiadomość o planowanym małżeństwie Cala z niedowierzaniem. Ojciec z matką siedzieli bez ruchu, jakby zamienili się w słupy soli. Albo jakby Cal mówił w obcym języku, który wciąż usiłowali rozgryźć. Meredith obserwowała ich w milczeniu.

Po raz pierwszy w życiu Ewan McKendrick nie wiedział, jak się zachować. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, lecz po chwili je zamknął. Jocelyn przyciskała palce do skroni, jakby miała ją rozboleć głowa. Stryj Ed natomiast wpatrywał się tępo w lśniący blat stołu.

- Nie wierzę! - zawołała w końcu matka. - To jakiś absurd! Ta Gina nie jest

odpowiednią dla ciebie dziewczyną, a tym bardziej odpowiednią kandydatką na żonę!

- Mamo, proszę - szepnęła Meredith, zawstydzona wybuchem matki.

Jocelyn zignorowała ją i pociągnęła nosem; nawet nie próbowała powstrzymać łez. Wyraz twarzy Cala nie złagodniał, przeciwnie, jego spojrzenie stwardniało.

- Jak to możliwe, że jesteś tak wielką snobką, mamó? - spytał, odsuwając krzesło od stołu. - Odkąd sięgam pamięcią, liczą się dla ciebie wyłącznie ludzie „naszego pokroju”. To się musi wreszcie skończyć.

On, który zawsze odnosił się do matki z najwyższym szacunkiem, powiedział to z takim obrzydzeniem, że Jocelyn natychmiast wzięła się w garść.

- Lorinda mnie ostrzegała - rzekła, niechcący wyjawiając tajemnicę. - Była bardzo zaniepokojona.

Cał zmrużył oczy.

- Kiedy cię ostrzegała?

Matka machnęła zniecierpliwioną ręką.

- Czyli już wtedy znaliście prawdę? - Nagle uświadomił sobie, że ciotka, którą darzył zaufaniem, oszukała go.

- Oczywiście, synu. - Ewan McKendrick ujął drżącą dłoń żony. - I co, urodziła twoje dziecko?

- Moje dziecko, a twojego wnuka, tato - odparł z napięciem Cal. - Nie miałem o niczym pojęcia.

- Nie wątpię. Jesteś człowiekiem honorowym.

- I właśnie jako człowiek honorowy nie powinienem żenić się z Giną? - Z głosu Cala przebijała gorycz. - Powinienem po cichu płacić jej alimenty, a sobie znaleźć inną żonę, tak? Nic z tego. Poślubię Ginę i sprowadzę ją na farmę.

Jocelyn, zawsze dystyngowana i kulturalna, głośno wytarła nos.

- Ale jak możesz ją kochać po tym, co ci zrobiła? Ta kobieta nie ma serca.

Gdybyś ją dziś poznał, pewnie byś się nią nie zainteresował...

Meredith nie wytrzymała; stanęła w obronie Giny.

- Mylisz się, mamó. Gina to cudowna kobieta. Każdy byłby dumny, mogąc przyjąć ją do rodziny.

Jocelyn ponownie zalała się łzami. Nie chciała poznawać Giny, a tym bardziej przyjmować jej do rodziny. Ale dziecko... To całkiem inna sprawa.

- Powtórzę jeszcze raz - oznajmił chłodno Cal. - Gina i nasz syn zamieszkają ze mną na farmie.

- I co, mały będzie paziem na waszym ślubie? - spytała sarkastycznym tonem matka. - I jeśli mogę wiedzieć, to gdzie planujesz urządzić wesele? Chyba nie tutaj? Nie chcę być obiektem kpin. Nie dam się upokorzyć. Nie...

- Spokojnie, kochanie. - Ewan posłał żonie ostrzegawcze spojrzenie.

Znał swojego syna. I nie zamierzał pozwolić, by ten opuścił farmę.

- Stryju, a ty co o tym sądzisz? - Cal zwrócił się do Eda, który przez cały czas milczał.

Ed rozpostarł ręce w geście bezradności. Jego bratowa zachowuje się karygodnie, ale on mieszka w jej domu. A z drugiej strony... do diabła, to jest również jego dom!

- Najważniejsze, żebyś był szczęśliwy, chłopcze. Wierzę, że twoja Gina jest, jak twierdzi Mere, cudowna. A twoja matka z Lorindą zawsze lubiły spiskować.

Jocelyn wciągnęła z sykiem powietrze.

- Wstydzilibyś się, Edward! Lorinda ubóstwia Calvina. Kieruje się wyłącznie troską o niego. To Gina uciekła z wyspy. To ona zostawiła Cala i wróciła do swojej rodziny. Czy na tym polega miłość? Że się oszukuje drugiego człowieka, a potem wyjeżdża bez słowa wyjaśnienia?

Cal wziął głęboki oddech; starał się opanować gniew.

- Mamó, im mniej powiesz, tym lepiej. Zdania nie zmienię. Odnalazłem matkę mojego dziecka, poprosiłem, aby przyjechali tu i zamieszkali ze mną. Gina i

Robert.

Oczy zapłonęły jej złością.

- Do cholery! - zawołała, dygocząc ze zdenerwowania. Nagle spojrzała na córkę, jakby wszystko było jej winą. - Nic dziwnego, że zaprotestowałaś, kiedy chciałam zaprosić Kym na weekend. Biedaczka będzie niepokieszona, kiedy o wszystkim usłyszy.

- Na miłość boską, przestań strzępić sobie język - powiedział do żony Ewan. - Mówiłem ci, że nic z tego nie wyjdzie.

- Ale... - Jocelyn nie posiadała się z oburzenia. - Ale ty też miałeś nadzieję, że Kym zostanie naszą synową. Że Cal poślubi właśnie ją, a nie jakąś obcą dziewczynę z dalekich stron. Połączylibyśmy nasze farmy. Byłoby idealnie.

- Bo najważniejszy jest biznes i odpowiednie towarzystwo, tak, mamó? - Meredith nie mogła się powstrzymać, by nie wbić matce szpilki.

- Licz się ze słowami, młoda damo! - zirytował się na córkę Ewan.

- Jedynie stwierdzam fakt, tato. Przestań traktować mnie jak dziecko.

- Nigdy ci nie wybaczę, że mnie nie uprzedziłaś - oznajmiła z pretensją w głosie matka. - Czuję się zdradzona przez własną córkę.

- Przykro mi, mamó. Ale tak jak ci mówiłam, wyjawienie wam prawdy należało do Cala.

- Zgadza się - poparł siostrę brat. - Prosiłem Mere, żeby trzymała język za zębami.

- To wprost niewiarygodne, żeby tak okłamywać własną matkę!

Ewan McKendrick nie przysłuchiwał się rozmowie.

- Mój wnuk ma trzy lata, a ja go nawet nie widziałem - szepnął ni stąd, ni zowąd. - Jak wygląda? Do kogo jest podobny? - Skierował wzrok na syna.

Wzdychając ciężko, Cal usiadł ponownie przy stole.

- Do ciebie, tato. I do mnie. Jest typowym McKendrickiem. Ale oczy ma mamy. Zielone.

- Co takiego? - oburzyła się Jocelyn, jakby tylko jedna osoba poza nią miała prawo do zielonych oczu. - Posłuchaj, Cal. Gina nie może tu przyjechać. Po prostu nie i już!

- Jeśli jej zabronisz, opuszczę farmę. - Cal postawił ultimatum.

I nikt nie wątpił, że dotrzyma słowa.

- Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci odejść! - zawołał niespodziewanie Ewan, unikając wzroku żony. - Kiedy zamierzasz sprowadzić Ginę i małego?

Uff, dzięki Bogu, pomyślała Meredith. Jak przychodzi co do czego, można na ojca liczyć.

Cal zerknął na siostrę; czytał w jej myślach.

- Pod koniec miesiąca. Dom jest wystarczająco duży, żeby wszystkich pomieścić. W razie czego nie musimy się wzajemnie oglądać.

- Ależ co ty wygadujesz! Nie będziesz się przemykał pod ścianą. Co się stało, to się nie odstanie. Im szybciej to zaakceptujemy, tym lepiej.

- Dzięki, tato. - Powoli napięcie opuszczało Cala, choć oczy wciąż mu błyszczały. - Zważywszy na to, co tu dziś usłyszałem, chciałbym porozmawiać z ciotką.

- Nie możesz! - W głosie Jocelyn zabrzmiała nuta triumfu. - Lorinda wyjechała do Europy.

- Ale wróci - stwierdził Cal.

Zamierzał poznać prawdę. To, że Lorinda rozmawiała z Jocelyn na temat jego i Giny romansu, dało mu wiele do myślenia.

- A kiedy chcecie złożyć przysięgę małżeńską? - kontynuował Ewan.

- Jeszcze nie wiem. - Cal zerknął na Meredith.

Takiej siostry każdy mógłby mu pozazdrościć. Ale nawet jej nie potrafił powiedzieć, że Gina wcale nie szalała z radości na myśl o małżeństwie. Nie był z tego powodu najszczęśliwszy, ale nie zamierzał się wycofać. Robert jest McKendriciem. Tu jest jego dom, jego miejsce. Dziecko potrzebuje obojga rodziców, ich miłości i troski. On, Cal, nie może ryzykować, że Gina pozna jakiegoś mężczyznę,

który będzie wychowywał jego syna.

- Skoro upierasz się przy swoim, to weźcie ślub w urzędzie stanu cywilnego w Brisbane, Sydney lub Adelajdzie - wtrąciła niechętnie Jocelyn. - Jestem przekonana, że twoja siostra chętnie zostanie waszym świadkiem.

- Z największą przyjemnością! Byłabym zaszczycona. Uważam to za cud, że Cal z Giną się odnaleźli.

- Z twoją pomocą! - warknęła oskarżycielskim tonem matka.

- Nie zgadzam się na żadne urzędy - sprzeciwił się ojciec, spojrzeniem nakazując córce, by milczała. - Ślub i wesele odbędą się na Wzgórzu Koronacyjnym.

Jocelyn popatrzyła na męża zaczerwienionymi oczami.

- Chyba nie mówisz poważnie, Ewanie?

- Wszyscy McKendrickowie pobierali się na farmie. Prawda, Ed? Ty też. Zorganizujemy huczne wesele. Tak jak nakazuje tradycja.

- A jeśli zaprotestuję? - Jocelyn rzuciła wyzwanie.

Mąż poklepał ją po ramieniu.

- Nie zrobisz tego, prawda, kochanie? Zawsze byłaś wspaniałą żoną. - Obrócił się twarzą do syna. - Chciałbyś wziąć ślub na farmie, Cal?

- Owszem, tato. Ale wolałbym skromną uroczystość.

- Zobaczymy. - Po raz pierwszy od początku rozmowy Ewan się uśmiechnął. - Ciężko ci było?

- Nie mnie, Ginie - odrzekł Cal, udając zakochanego.

- Nie wygaduj bzdur - prychnęła Jocelyn.

- Twoja Gina musi być bardzo silną osobą - oznajmił ojciec, posyłając żonie spojrzenie pełne złości. - Sprowadź ją, synu. Przyjmiemy ją z otwartymi ramionami. - Ponownie nakazał żonie, by milczała. - Nie mogę się doczekać, aby poznać mojego wnuka, zwłaszcza jeśli jest do mnie taki podobny.

Ciekawe, czy też byłby taki miły, gdyby chodziło o wnuczkę, pomyślała Meredith, po czym zganiła się w duchu. Nie powinna być wredna.

- Dzięki Bogu, że już po wszystkim - powiedziała godzinę później, wymknąwszy się z bratem do ogrodu. - Myślisz, że Lorinda przyczyniła się do wyjazdu Giny? Wcale bym się nie zdziwiła, choć zawsze zachowywała się wobec niej w porządku.

- To prawda - przyznał Cal.

Miał mętlik w głowie. Całymi latami obwiniał Ginę, a prawda mogła wyglądać zupełnie inaczej.

- Gina nic nie mówiła? - spytała Meredith, jakby czytając w jego myślach.

- O Lorindzie? Że kazała jej opuścić wyspę? Nie.

- To dlaczego wyjechała?

Wbił wzrok w upstrzone gwiazdami niebo.

- Nie wiem. Dała mi jasno do zrozumienia, że nie chce wracać do przeszłości. Wydaje mi się jednak, że w owym czasie uważała, że nie jest dla mnie dość dobra. Pochodziła z normalnej rodziny, w której się nie przelewało. Może czuła się przytłoczona naszym bogactwem?

- Nie sprawiała takiego wrażenia.

- A może po prostu się wystraszyła?

- Czy kiedykolwiek wspomniałeś przy niej o Kym? Że rodzice chcą was wyswatać?

- Nie żartuj! W ogóle o Kym nie myślałem. Liczyła się tylko Gina. Później sama dowiedziała się o Kym, zobaczyła nasze zdjęcie w jakimś piśmie. Byliśmy w tym czasie zaręczeni.

- Boże! - Meredith jęknęła. - Swoją drogą ciotka mogła jej napomknąć o Kym. Była w kontakcie z mamą, wiedziała, czego rodzice dla ciebie pragną i może widząc twoje zaangażowanie, uznała, że trzeba jak najszybciej pozbyć się Giny z wyspy.

- Dowiem się prawdy - obiecał Cal. - Gina miała szansę zadenuncjować Lorindę. Nie zrobiła tego.

- Hm. A co z jej narzeczonym? Pewnie odwołała ślub, kiedy zorientowała się, że jest w ciąży?

- Gina twierdzi, że nigdy nie miała żadnego narzeczonego. Sam nie wiem. Na pewno bała się reakcji swojego ojca, który zmarł niedługo później... Mówiłaś o tym Steve'owi?

Meredith skinęła głową, zadowolona, że w mroku brat nie widzi rumieńców na jej twarzy.

- Powiedziałeś, że mogę. Steven wiele w życiu przeszedł. Dużo rozumie.

- Lubisz go, prawda?

- Tak. - Uznała, że nie ma sensu udawać. - To świetny facet, ale wyobrażasz sobie reakcję rodziców, gdybym im powiedziała, że spodziewam się jego dziecka? Tata na pewno nie zaproponowałby nam ślubu na farmie. Po prostu inne zasady obowiązują ciebie, inne mnie.

- To nie są moje zasady - oznajmił cicho Cal. - Starzy, zwłaszcza mama, muszą zmienić podejście do życia. - Nagle urwał. - Ale chyba nie jesteś w ciąży, co?

- A gdybym była?

- Spytałbym, czy on cię kocha i czy ty kochasz jego. Miłość jest najważniejsza.

- Powiedz to lepiej naszej mamie. Nie, Cal, nie jestem w ciąży. Chociaż mama stwierdziła ostatnio, że powinnam pomyśleć o dzieciach, bo wkrótce będę za stara. Chciała zaprosić na weekend Shane'a. No i Kym.

- Chryste! Mam nadzieję, że nie robi jej żadnych nadziei!

- Nie musi. Myślę, że Kym cały czas czeka, aż pójdziesz po rozum do głowy.

Gina postanowiła nie sprzedawać mieszkania. Nie miała żadnej pewności, czy małżeństwo jej i Cala przetrwa. Musiała podjąć ryzyko; innego wyboru nie było. Walka sądowa pochłonięłaby mnóstwo czasu i pieniędzy, a skończyłaby się w najlepszym razie przyznaniem ojcu równych praw do dziecka. Czyli połowę czasu



Robbie spędzałby z McKendrickami w ich fortecy.

O sobie starała się nie myśleć. Tylko w nocy wewnętrzny głos nie dawał jej spokoju. Kochasz go i zawsze będziesz kochać, powtarzał.

Cał McKendrick to niezagojona rana. To nieuleczalna choroba, na którą zapadła przed czterema laty. Może mieliby szansę, gdyby Cał był normalnym facetem, takim jak jej znajomy z pracy Nat Goldman. Rodzice Nata nie posiadaliby się z radości, gdyby przyjaźń ich syna z Giną przerodziła się w miłość. Natomiast McKendrickowie...

Gina pamiętała siostrę Cała, uroczą Meredith. Dziewczyna nie wywyższała się, ale reszta rodziny... Boże, takiego bogactwa Gina nigdy na oczy nie widziała. Od McKendricków dzieliła ją przepaść. Nigdy pierwsza nie zaczepiłaby Cała ani żadnego gościa na wyspie. Znała swoje miejsce; pracowała jako pokojówka. Potrzebowała pieniędzy na opłacenie ostatniego semestru studiów. Sam fakt, że była pierwszą osobą w rodzinie, która wybrała się na uniwersytet, napawał dumą jej ojca. A ona w dodatku miała najlepszą średnią na roku.

Romanowie nie należeli do bogatych, mimo że ojciec całe życie ciężko pracował. Żyli na małej farmie, nie na plantacji; uprawiali buraki i trzcinę. Nie byłiby w stanie opłacić studiów córki. Dlatego zatrudniła się na wyspie. A tam pokochała Cała McKendricka.

Kiedy powiedziała Rosie o odwiedzinach Cała, ta natychmiast się najeżyła.

- Czego chciał? - spytała, jak zwykle gotowa bronić swojej chrześnicy.

A usłyszawszy odpowiedź, zaniemówiła z wrażenia.

- Nadal go kochasz?

- Nic na to nie poradzę - rzekła Gina, wiedząc, że nie ma sensu ukrywać prawdy przed Rosą.

- *Gran Dio!* - Rosa cisnęła grejpfruta przez kuchenne okno, o mało nie trafiając kota sąsiadów, który uciekł z piskiem. - Powiedz mu, że przyjadę z tobą na tydzień. Może na miesiąc. Razem stawimy czoło McKendrickom. Ty i Roberto je-

steście moją rodziną. Nie puszczę was samych.

Kiedy Cal zadzwonił, Gina przekazała mu słowa Rosy. Spodziewała się sarkastycznej uwagi lub sprzeciwu, Cal jednak roześmiał się wesoło.

- Super!

Często dzwonił. Pewnie sprawdzał, czy nigdzie nie zamierza wyjechać. Może nawet miał szpiega na miejscu. Zaczęła przyglądać się zaparkowanym przed domem samochodom. Tylko tego brakowało, żeby wynajęty przez Cala detektyw porwał jej syna.

Długo zastanawiała się, co powiedzieć Robbiemu. Słuchaj, synku, pan, który wpadł tu kilka dni temu i z którym tak miło ci się rozmawiało, to twój tata? O dziwo, Robbie przyjął informację ze spokojem.

- Mój tatuś? - Oczy mu rozbłysły. - A gdzie jest teraz?

- Słuchasz mnie, syneczku? Cal jest twoim ojcem. - Nie spodziewała się, że rozmowa tak gładko pójdzie. Bała się, że Robbie nie zrozumiał tego, co mu mówi. Był inteligentnym dzieckiem, ale miał dopiero trzy lata.

- Dobrze, mamusiu. Ale gdzie on jest?

Przełknęła ślinę.

- Wrócił do siebie. Pochodzi z rodziny hodowców. McKendrickowie mieszkają razem na ogromnej farmie.

- O rany! To Cal jest kowbojem? - spytał chłopiec z takim podnieceniem, jakby to był najwspanialszy zawód na świecie.

- Nie, misiaczku. Hodowcą.

- Super! Powiedział, że mi pokaże farmę.

- I to całkiem niedługo. Twój tatuś przyjedzie po nas pod koniec miesiąca. Wyjedziemy z Queenslandu i zamieszkamy z nim w Terytorium Północnym. Terytorium Północne graniczy z Queenslandem, ale jest daleko stąd.

- A jak tam dojedziemy? Pociągiem? Takim długim, jaki pokazywali w telewizji? - Chłopiec był przejęty myślą o podróży.

- Nie, kochanie. - Gina potrząsnęła głową. - Pociągiem na pewno się kiedyś przejedziesz, ale tatuś zabierze nas na farmę swoim samolotem.

Robbie wytrzeszczył oczy.

- Tatuś lata samolotem?

- Tak, ale nie takim dużym, jakie widziałeś na lotnisku. Jego samolot jest dużo mniejszy.

- To on musi być bardzo bogaty!

- Biedny nie jest. - Gina nie chciała mówić o pieniądzach Cala. Zmieniła temat. - Cal i ja chcemy wziąć ślub. Co ty na to, misiaczku? - Popatrzyła na twarz synka.

- Sam nie wiem. - Chłopiec skrzywił się. - Musicie?

Modliła się w duchu, by tylko nie wybuchnął płaczem.

- Tatuś pragnie, żebyśmy byli rodziną - odparła łagodnie. - Żebyśmy przyjęli jego nazwisko. Ja będę Giną McKendrick, a ty Robertem McKendrickiem.

- Fajnie - rzekł Robbie po namyśle. - Cal lubi mówić do mnie Robert, prawda?

- Tak, kochanie. A ja lubię mówić do ciebie Roberto. I lubię czasem mówić do ciebie po włosku, żebyś pamiętał o swoim pochodzeniu.

- Moja koleżanka Connie też mówi po włosku, Jonathon po grecku, a Rani po wietnamsku. Fajnie znać obcy język.

- Bardzo fajnie. Więc jak, kochanie? Zgadzasz się, żebym poślubiła Cala?

Chłopiec rzucił się matce w ramiona.

- Tak, mamusiu. A co będzie z ciocią Rosą?

Wzruszyło Ginę dobre serce syna.

- Pojedzie z nami. - Łza popłynęła jej po policzku. - I pomoże nam się tam zaaklimatyzować.

- Super! - Chłopczyk uśmiechnął się promiennie. - Nie chciałbym zostawiać Rosy samej.

- Nie zrobimy tego - obiecała solennie Gina.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Dziesięć minut przed przylotem Cala wzdłuż pasa startowego nieopodal ogromnego hangaru zaczął gromadzić się personel. Panował świąteczny nastrój. Cal wracał do domu z rodziną: z młodą kobietą, którą zamierzał poślubić, i trzyletnim synkiem. Oraz ciotką swojej narzeczonej. Na siódmą wieczorem pracownicy farmy zaplanowali przyjęcie w ogrodzie. Synek Cala pewnie będzie już spał, ale McKendrickowie przypuszczalnie wpadną.

Takiego powitania Gina się nie spodziewała. Kiedy samolot podchodził do lądowania, zobaczyła w dole oczekujący tłum. Nawet Rosa nie była w stanie ukryć podniecenia.

- Zupełnie jakbym film oglądała!

Widok z góry zapierał dech. Rozległy pusty teren ciągnący się aż po horyzont, a pośrodku farma. Gina przypomniła sobie coś, co kiedyś przeczytała: że Terytorium Północne jest dwa razy większe od Teksasu, lecz ma sto razy mniejszą populację. Nic dziwnego, że ludzie czuli się tu jak pierwsi osadnicy na amerykańskim Dzikim Zachodzie.

Farma składała się z wielu budynków, z których największym był dom rodzinny stojący pośród bujnej zieleni. Pas startowy znajdował się w sporej odległości od reszty zabudowań. Kończył się przy olbrzymim hangarze ze stylizowaną koroną namalowaną na dachu. Obok hangaru tkwił wysoki maszt z australijską flagą.

Dalej mieściły się zagrody pełne bydła oraz trzy zbiorniki wodne. Jeszcze dalej - bezkresne połacie ziemi, które miejscami przypominały dżunglę, miejscami park. Przecinały je kręte rzeki i strumyki, które często wysychały w porze suszy. Gdzieś tam biegały stada koni, zapewne dzikich.

Robbie, który większość lotu przespał, teraz siedział z nosem przyklejonym

do szyby.

Lot przebiegł wyjątkowo spokojnie. Nic dziwnego, maszynę prowadził doświadczony pilot: Cal. Sprawiał wrażenie człowieka, który uwielbia latać. Gina uświadomiła sobie, że dla tutejszych mieszkańców, przy tych odległościach, samolot to konieczność, a nie luksus.

- Ale pędzimy! - zawołał Robbie, klaszcząc radośnie w ręczki.

- Siedź grzecznie, misiaczku. Nie podskakuj - poprosiła go Gina.

- Kim są ci ludzie?

- To pracownicy farmy - odparła szeptem.

Kolejne osoby wyłoniły się z hangaru; oczekujący tłum zgęstniał.

- Niesamowite - rzekła z niedowierzaniem Rosa.

Koła podskoczyły na asfaltowym pasie, hamulce zaskrzypiały i po chwili maszyna podjechała pod hangar. Cal zgasił silnik. Pięć minut później zeszli po schodkach.

- To są nasi ludzie, Robbie - powiedział Cal, biorąc syna na rękę.

- Nasi? Jesteś królem, tatusiu? - Chłopiec popatrzył ojcu w oczy, tak jakby ten był najmądrzejszym człowiekiem na świecie. W przedszkolu uczył się o królowej Elżbiecie i rodzinie królewskiej. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający starszą panią w pięknej żółtej sukni. Wychowawczyni powiedziała im, że namalował go słynny australijski malarz, sir William Dargie.

- Królem? Skądże! - zaprotestował ze śmiechem Cal. - Jestem zwykłym człowiekiem.

Zwykłym? Chyba przesadził, przemknęło Ginie przez myśl. Zauważyła, że odkąd Cal się pojawił, Robbie zwracał się do niego per „tatusiu”. Jakby tęsknił za kimś, kogo mógłby tak nazywać. Najwyraźniej, choć czuł miłość matki, brakowało mu miłości ojca. Cal miał rację: dziecko potrzebuje pełnej rodziny.

„Inne dzieci mają mamusię i tatusia. Teraz ja też mam”. Przypomniała sobie, z jaką satysfakcją Robbie wypowiedział te słowa.

Nagle z oczekującego tłumu wyłoniła się młoda szczupła dziewczyna, która po chwili rzuciła się Ginie na szyję.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś!

- Ja też się cieszę. - Gina nie zdołała powściągnąć łez. - Meredith, poznaj Rosę.

Meredith uśmiechnęła się ciepło, czując instynktowną sympatię do ciotki Giny, która wcale nie była matronowatą panią w średnim wieku, lecz seksowną pięćdziesięciokilkuletnią kobietą o pięknej oliwkowej cerze.

- Miło mi, kochanie. - Rosa odwzajemniła serdeczny uścisk dziewczyny.

- A ciebie, kawalerze, wszędzie bym rozpoznała. - Meredith pogładziła po zarumienionym policzku swojego bratanka. - Jesteś kopia swojego tatusia. - Przeniósła spojrzenie na Cala. - To niesamowite.

- Prawda? - Cal wyszczerzył z dumą zęby. - To jest twoja ciocia Meredith, Robbie. Opowiadałem ci o niej, pamiętasz?

Cal postawił synka na ziemi. Robbie był wyjątkowo ufnym dzieckiem. Gina doskonale go wychowała.

W cieniu hangaru stała grupka dzieci, która ku ogromnej radości chłopca ruszyła im naprzeciw. Były to dzieci pracowników, które do dziesiątego roku życia uczęszczały do jednoizbowej szkoły na terenie farmy. Powitania trwały dobre dwadzieścia minut.

- Wszyscy mnie lubią! - zawołał z przejęciem Robbie, kiedy jechali furgonetką do domu.

- A czegoś się spodziewał? - spytała ze śmiechem Meredith. - Jesteś fantastycznym chłopakiem!

Zaraz się przekonamy, czy rodzice Cala mnie polubią, pomyślała Gina. Nie zdziwiła się, że nie wyszli przed hangar powitać rodziny syna. Wszyscy inni przyjęli ją i Robbiego z niezwykłą serdecznością. Kiedy przedstawiano ją zarządcy, wyczuła silną więź łączącą go z Meredith. Domyślała się jednak, że starsi McKen-

drickowie są przeciwni bliższemu stosunkom między personelem a rodziną.

Przyjęto ich w imponującej bibliotece. Nie powitano, lecz właśnie przyjęto. Matka Cala, piękna zadbana kobieta w eleganckiej sukni, ze sznurem pereł na szyi, siedziała w głębokim fotelu. Ojciec, przystojny starszy pan o przenikliwych niebieskich oczach, stał za nią. Parę metrów dalej stał drugi mężczyzna podobny z wyglądu do pierwszego; przypuszczalnie był to stryj Edward. On jeden uśmiechnął się ciepło do Giny. Co za niebywale urodziwa rodzina, przemknęło Ginie przez myśl. Ale nie czuła się zakompleksiona. Romanom też niczego pod względem urody nie brakowało, a już zwłaszcza Rosie, od której Edward już po chwili nie mógł oderwać wzroku.

Rosa nie przejmowała się McKendrickami. Interesowało ją wyłącznie to, jak potraktują jej chrześnicę. W końcu po to tu przyjechała: żeby wesprzeć Ginę.

Cał przystąpił do prezentacji. Jego matka nie ruszyła się z miejsca; to goście do niej podchodzili. Najwyraźniej uważa, że okryłam ich hańbą, pomyślała Gina, ściskając na powitanie chłodną dłoń Jocelyn McKendrick.

Ewan McKendrick okazał się całkiem sympatyczny. Gina zauważyła, jak karcici żonę wzrokiem. Kobieta przyjęła nieme upomnienie, bo już po chwili atmosfera stała się mniej napięta. Robbie, wcześniej przyjaźnie do wszystkich nastawiony, schował się za Ginę. Cał wziął syna na rękę.

- Robercie, poznaj swoją babcie i dziadka. A ten pan stojący obok to twój stryjeczny dziadek Ed.

- Dzień dobry - przywitał się grzecznie chłopiec.

Jocelyn utkwiała w małym spojrzeniu.

- Ależ urocze dziecko - oznajmiła z zachwytem. - Daj babci buziaka. - Wyciągnęła do niego rękę.

- Wykapany tata! - zawołał triumfalnie Ewan, po czym skierował wzrok na piękną, dumnie wyprostowaną młodą kobietę. Może nie pochodzi z bogatej rodziny, ale przynajmniej prezentuje się wspaniale. - Witaj w naszej rodzinie, Gino.

Gina w milczeniu skinęła głową, nieświadoma tego, jak dostojnie wygląda.

- To miło, *signora*, że postanowiła pani towarzyszyć Ginie - Ewan zwrócił się do atrakcyjnej kobiety w średnim wieku, która stała obok - Czy mogę mówić do pani... do ciebie... Rosa?

- Ależ oczywiście.

- Hej, młody człowieku, nie uściskasz dziadka? - Popatrzył na Robbiego, ucieszony jego podobieństwem do McKendricków.

- Czy mogę cię, dziadku, uściskać? - Chłopczyk podszedł do starszego mężczyzny.

W tym momencie Jocelyn wybuchnęła płaczem. Do akcji wkroczył Ed.

- Pewnie chcecie odpocząć po podróży? - spytał gości, z trudem odrywając oczy od Rosy, która promieniała.

- Na szczęście nie była zbyt męcząca - rzekła z uroczym włoskim akcentem, którego nie potrafiła się pozbyć.

Przyjrzała się uważnie wysokiemu przystojnemu mężczyźnie o oczach w kolorze szafiru. Podobno jest wdowcem. Hm, ciekawe. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowieka trafi strzała amora.

- Może przejdźcie na górę - zaproponowała Meredith, która dotąd w milczeniu obserwowała scenę powitania. Chciała dać matce chwilę, aby się uspokoiła. - Zaraz ktoś wniesie wasze bagaże.

- Pójdiesz z nami, tatusiu? - spytał Robbie.

- Oczywiście - odparł Cal, zaciskając rękę na ramieniu matki. - Zajrzę do ciebie za minutkę.

- Obiecałeś, że nauczysz mnie jazdy na koniu - przypomniał mu chłopiec, gotów rozpocząć lekcje.

- Na kucu, Robercie. Kupię ci własnego.

- Koniecznie! - zawołał Ewan. - Widzę, Robbie, że miłość do koni masz we krwi.



- Mamo, głowa do góry - szepnął matce do ucha Cal.

- Przynajmniej jest ładna - mruknęła Jocelyn, kiedy goście znaleźli się poza zasięgiem słuchu. Poczuła jednak ukłucie zazdrości. Zawsze była najważniejszą kobietą w życiu syna. Nawet posłuszna Kym nie zajęłaby jej miejsca. Ale Gina... Gina nie zadowoli się drugim miejscem. - Za to jej ciotka... - Wzniosła oczy do nieba.

- Czarująca, prawda? - oznajmił z uśmiechem Ed. - Kto wie, może poproszę ją o rękę.

Jocelyn popatrzyła na szwagra, nie kryjąc zdumienia.

- Żartujesz!

Bo chyba nie mówił serio?

Jocelyn prawie nie tknęła kolacji; przeprosiwszy wszystkich, wcześniej udała się na spoczynek. Pół godziny później Ewan, wyraźnie zły na żonę, podążył za nią na górę.

Prawdopodobnie między rodzicami dojdzie do ostrej wymiany zdań, pomyślał Cal, który również był oburzony zachowaniem matki. Jeszcze nigdy nie widział jej tak zimnej i nieuprzejmej w stosunku do gości. No ale goście byli wyjątkowo urodziwi.

Rosa z Edem, którzy podczas kolacji rozmawiali z sobą na różne tematy, między innymi o sztuce, postanowili wyjść wraz z młodymi do ogrodu, gdzie przy kiełbaskach z grilla bawił się personel. Rosa przezornie ucięła po południu drzemkę; na jej twarzy nie było śladu zmęczenia.

Kiedy Edward z Rosą i Meredith ruszyli do wyjścia, Cal ujął Ginę za łokieć.

- Wyjdźmy na taras.

Zadrzała. Jego dotyk zawsze tak na nią działał.

- Czyli powitanie mamy z głowy - rzekł lekko ironicznym tonem, wciągając w nozdrza zapach gardenii.

- Twój ojciec się stara. Meredith i stryj Ed są przesympatyczni. Ale twoja mama... nigdy mnie nie polubi.

Bo jest zazdrosna, pomyślał Cal, ale nie powiedział tego na głos.

- Zawsze dotąd trzymała stery w rękach - oznajmił, próbując wytłumaczyć zachowanie matki. - Tym razem sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. Nie przejmuj się, Gino. W końcu mama się opamięta.

- Mam nadzieję, choćby ze względu na Robbiego. - Wzięła głęboki oddech. Czowała, jak miłość i nienawiść toczą walkę o jej duszę. - Dzięki Bogu, że mały jest do ciebie podobny. Inaczej nie miałyby szans.

Cal zerknął na nią, usiłując zdławić pożądanie. Miała rozpuszczone włosy opadające swobodnie na ramiona i krótką koronkową sukienkę w kolorze złota, ukazującą długie zgrabne nogi. Duży dekolt eksponował piękny biust.

- A ja marzę o córeczce, która wyglądałaby tak jak ty.

- Długo będziesz musiał czekać - oznajmiła chłodno.

- Chyba że cię uwiodę... - Skierował się w dół po kamiennych schodkach. - Ed jest oczarowany Rosą. Zauważyłaś?

- Owszem. Jak to nigdy nie wiadomo. Dawno owdowiał?

- Ciotka Jenny zmarła dziesięć lat temu. Pamiętam, jak Meredith płakała na pogrzebie. Ja też chciałem, ale nie wolno mi było, bo chłopcy przecież nie płaczą.

- Czyli jednak masz serce?

- A ty?

- Ja mam Robbiego. On jest całym moim życiem. I tylko dlatego zgodziłam się tu przyjechać.

- Pamiętaj, że jesteśmy kochankami, których rozdzielił los i którzy, odnalazłszy się po latach, postanowili się pobrać.

Roześmiała się, ale serce biło jej jak szalone.

- Nie myśl, że pojedziemy w podróż poślubną - ostrzegła Cala. - I że będziemy z sobą sypiać.

- *Gianina mia*, czy ja wspomniałem cokolwiek o seksie? - spytał żartobliwym tonem. - Ale nie martw się. Wspomnę. - Po chwili spoważniał. - Podróż poślubną lepiej odłożymy na później, żeby Robert przyzwyczał się do dziadków. Chyba że zabierzemy go z sobą?

Zdenerwowana zwolniła kroku.

- Dokąd? O czym ty mówisz?

- O naszej wyspie.

- Zwariowałeś?

- Powiedz mi, Gino, co się tam wydarzyło?

Popatrzyła na gwiazdy prześwitujące przez korony drzew. Blask księżyca oświetlał rabaty pełne tropikalnych kwiatów, których balsamiczny zapach unosił się w powietrzu.

- Co się wydarzyło? Nic. Zakochałam się.

- Ja też. Byłaś moją Julią. Gotów byłem skoczyć za tobą w ogień.

- Tylko nasza historia okazała się farsą. Komedią pomyłek.

- Mam Roberta - przypomniał jej. - A z ciotką Lorindą zamierzam odbyć długą rozmowę, jak wróci do domu. Podejrzewam, że namieszała w naszym życiu bardziej, niż się do tego przyznaje.

- Było, minęło. Nie warto oglądać się wstecz. A swoją drogą, gdzie jest Lorinda? Dokąd poleciała na swej miotle?

Przystanął.

- Na miotle?

- Przepraszam. Tak mi się wyrwało. - Zrobiło jej się głupio. Tym bardziej że przed chwilą twierdziła, iż nie chce wracać do przeszłości.

Wędrowali ścieżką pośród drzew.

- Cał, czy możemy mieć skromne wesele?

- Jasne, mnie też nie kusi tłum gości. Zapisz nazwiska przyjaciół.

- Najchętniej w ogóle nie brałabym ślubu.

- Co takiego?

Przygryzła wargę. Wyczuwała podniecającą bliskość Cala, a zarazem pragnęła uciec od niego jak najdalej.

- Mam trzyletniego syna.

- Więc czas najwyższy, żebyś stanęła na ślubnym kobiercu. Zresztą tak się umawialiśmy.

- Chcesz poprosić Kym na świadka?

- Oszalałaś?

- Różne rzeczy się zdarzają. Znam człowieka, który zaprosił na ślub wszystkie dawne narzeczone.

Nieoczekiwanie przywarł ustami do jej ust. Przeszył ją dreszcz. Miała ochotę objąć Cala za szyję, przytulić się do niego mocno, ale się oswobodziła.

- Nie rób tego.

- W porządku. Idziemy dalej? Pod rękę, jak szczęśliwi małżonkowie?

- Jak myślisz: ile przetrwa nasze małżeństwo? - spytała cicho.

- Hm, co najmniej pięćdziesiąt lat. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Przyjęcie w ogrodzie okazało się sukcesem. Stoły uginały się, dzieci ganiały między dorosłymi, goście rozmawiali z ożywieniem. Steve jako zarządca starał się pilnować, aby nikomu niczego nie brakowało. Oczywiście cały czas wypatrywał Meredith.

I wreszcie ją dojrzał. Szła z ciotką Giny, Rosą, i Edwardem McKendrickiem, człowiekiem o wiele bardziej przystępnym od starszego brata. Rosa wyglądała świetnie w barwnym stroju, trochę w stylu cygańskim. Widać było, że wpadła Edowi w oko. To dobrze, pomyślał Steve; czas najwyższy, żeby po śmierci żony biedak ułożył sobie życie.

Meredith zwykle nosiła dzinsy, czasem - na różne przyjęcia - wkładała bardziej eleganckie spodnie. I nic dziwnego, miała idealną figurę, którą spodnie wspa-

niale podkreślały. Dziś wystąpiła w zwiewnej niebieskiej sukience, która wirowała wokół jej zgrabnych nóg. Rozpuszczone włosy lśniąca kaskadą opadały jej na plecy.

- Wszystko w porządku, Steve? - Ed wyciągnął na powitanie rękę.

- Tak, panie McKendrick. Ludzie doskonale się bawią. - Przeniósł spojrzenie na kobiety. - Czy wolno mi powiedzieć, jak zachwycająco panie wyglądają?

- Wolno, wolno! - ucieszyła się Rosa. - Uwodzicielski z ciebie typ, Stevenie. - Pogroziła mu palcem.

- Po prostu doceniam kobiecą urodę - odparł szarmancko i zerknął za siebie. - Gdzie Cal z Giną?

- Zaraz dojdą. Oj, chyba bym się czegoś napiła - rzekła Meredith, biorąc Stevena pod rękę. Nigdy wcześniej tego nie robiła. - A wy? - Popatrzyła na Rosę i Eda, który od wczoraj odmłodził o dziesięć lat.

- My później - odparła zmysłowym głosem Rosa. - Edwardzie, oprowadzisz mnie po ogrodzie? Tyle tu wspaniałych roślin...

- Coś mi się zdaje, że Rosa wpadła Edowi w oko - powiedział Steve, gdy ci ruszyli na zwiedzanie.

- To niezwykle atrakcyjna kobieta. Podczas kolacji wdali się w dyskusję o sztuce. Tata słuchał znudzony. On i Ed są podobni z wyglądu, lecz totalnie różni z charakteru.

- Twoi rodzice zaszczycają nas dziś swoją obecnością?

Potrząsnęła głową.

- Podczas kolacji mama nawet nie próbowała robić dobrej miny do złej gry.

- Szkoda. Myślałem, że się ucieszą z tak pięknej synowej. I z Robbiego. To fantastyczny dzieciak, mądry, pełen energii. Na pracownikach cała trójka, łącznie z Rosą, zrobiła doskonale wrażenie. Dlatego wszyscy są tacy szczęśliwi.

- A ty, Steven? Jesteś szczęśliwy? - Przeniknął ją żar. I znikły wątpliwości: wiedziała, że kocha tego faceta.

- Przy tobie jestem. Bałem się, że nie przyjdiesz. - Z trudem powstrzymał się, by nie porwać jej w ramiona. - Mówiłem serio: w tej cieniutkiej sukience, która wiruje przy każdym twoim ruchu, wyglądasz prześlicznie.

- Dziękuję.

Pochylił głowę.

- Mam ochotę cię pocałować.

Nadstawiła usta, ale w tym momencie rozległy się powitane okrzyki. Steve wybuchnął śmiechem.

- Moglibyśmy stąd uciec?

- Dziś niestety nie - odparła z żalem Meredith. Ktoś nastawił głośniej muzykę.

- Może zatańczymy?

- To rozsądne?

- Boisz się? - Uniosła rękę i delikatnie przejechała palcem po jego wargach.

- Pragnę cię. Pragnę cię rozebrać, całować, dotykać. - Głos miał ochrypły, wzrok zamglony.

Powietrze wypełniła wolniejsza muzyka. Steve wziął Meredith w ramiona. Czyż nie o tym marzył cały dzień? Jedne pary tańczyły pod drzewami, inne na ścieżce.

Nie rozmawiali. Słowa były zbędne. Nagle pośród radosnego śmiechu rozległo się wołanie:

- Meredith!

- To twój ojciec. Idzie w naszą stronę. Myślałem, że udał się z żoną na spacer?

- Też tak myślałam.

Wciąż trzymał ją w objęciach.

- Dobry wieczór, panie McKendrick. Nie byłem pewien, czy zaszczyci pan nas swoją obecnością.

- Więc skorzystałeś z okazji, żeby zatańczyć z moją córką? - warknął Ewan.

Steve nie dał się zbić z tropu, mimo że coraz więcej osób zerkało na nich z zaciekawieniem.

- Nie wiedziałem, że to zabronione.

- Tato, proszę cię. Ludzie patrzą.

Ojciec zignorował córkę. Po kłótni z żoną łaknął krwi.

- Bądź łaskaw ją puścić. - Wyciągnął rękę, by odepchnąć Steve'a, ale ten, młodszy o dobre trzydzieści lat i doskonale umięśniony, nawet nie drgnął.

Gina poczuła znajomy dotyk zimna na szyi.

- Tak ci spieszno na przyjęcie? - Cal roześmiał się wesoło, widząc, że przyśpiesza kroku.

- Tam się dzieje coś złego.

Nie pytał co. Po chwili zobaczył, jak ojciec przysuwa rękę do ramienia Steve'a i próbuje go odepchnąć. Bez skutku. Obok stała Meredith, przejęta i zawstydzona. Zrobiło mu się żal siostry. Tak pięknie dziś wyglądała. Nie zasługiwała na takie traktowanie, Steve też nie.

- Twoi rodzice wciąż żyją w zamierzchłych czasach - mruknęła Gina, biorąc oczywiście stronę Stevena.

- Masz rację. - Cal jeszcze bardziej przyśpieszył kroku. - Rządzą twardą ręką, jakby Wzgórze Koronacyjne było ich królestwem. Lepiej zostań tu, gdzie jesteś.

- Nic z tego.

- Hej, wszystko w porządku? - zawołał Cal, kiedy zbliżyli się do skłóconej trójki.

- Chyba nie mówisz do mnie? - Ewan obrócił się do syna.

- Do ciebie, tato. Jesteś zdenerwowany. - Cal mówił kojącym tonem, wiedząc, że między rodzicami doszło do wymiany zdań. - Może odprowadzę cię do domu?

- Do domu? A czy ty widziałeś to co ja? Moja córka, a twoja siostra, tkwiła w objęciach tego dryblasza. - Wskazał brodą na Steve'a.

- Tańczyli, tato. Nic złego się nie działo. Meredith naprawdę może tańczyć, z

kim chce.

- Nie, póki mieszka pod moim dachem!

- Pod twoim, pod mamy, pod moim, pod Eda... Wróć, tato, do domu. Nie psuj ludziom wieczoru. A Steve'a powinieneś przeprosić.

- Za co? - Twarz Ewana wykrzywiła złość. - Naprawdę jesteś taki naiwny, Cal? Lockhart to ambitny człowiek. Bycie zarządcą mu nie wystarcza. Zamierza zdobyć Meredith!

- Ma pan całkowitą rację - wtrącił Steve. - Uważam, że Meredith jest najwspanialszą kobietą na świecie.

- Tak uważasz?! Lepiej trzymaj się od niej z daleka! Wybrałem już męża dla mojej córki: człowieka z porządnej rodziny, a nie za takiego śmiecia jak ty!

Furia bijąca z głosu McKendricka wprawiła wszystkich w zdumienie.

- Dość tego! - Cal chwycił ojca za łokieć, bojąc się, że za moment Steve straci cierpliwość. - Idziemy.

- Żaden bękart nie nadaje się na męża dla Meredith! Zwalniam cię, Lockhart! A ty, Cal, nie próbuj mi się sprzeciwić. Nie zapominaj, że to ja tu rządę.

- Nie zapominam, ale liczę na twój rozsądek. Steve jest znakomitym zarządcą. Bez niego sobie nie poradzę. No, chodźmy. Musisz się uspokoić. Lekarz mówił, że masz za wysokie ciśnienie.

Mimo protestów starszy McKendrick pozwolił się odprowadzić do domu.

Gina wyciągnęła rękę do rozdygotanej Meredith.

- Mój ojciec ciągle wtrącał się do mojego życia. Do domu mogłam zapraszać koleżanki, chłopców nie. Żaden nie był dla mnie wystarczająco dobry. Byłam „gwiazdeczką” tatusia. A kiedy zaszłam w ciążę, wyrzucił mnie na bruk.

- To straszne! - Zarówno Meredith, jak i Steve byli wstrząśnięci wyznaniem Giny. - Nie przypuszczałam...

- Matka dała mi wszystkie swoje zaskórniaki. Skończyłam studia. Do siódmego miesiąca miałam prawie płaski brzuch. Pomagała mi Rosa. Bez niej bym so-



bie nie poradziła. Nie pozwól ojcu sobą rządzić, Meredith.

Meredith, zszokowana, pokręciła głową.

- Czy Cal wie, co przeżyłaś?

Na twarzy Giny osiadł smutny uśmiech.

- Kiedyś mu o tym powiem.

- Zrób to jak najszybciej.

- Na razie musimy rozwiązać parę ważniejszych kwestii. Twoja matka mnie nie lubi i sądzę, że nigdy nie polubi. A ja nie wiem, czy będę potrafiła mieszkać pod jednym dachem z wrogo nastawioną teściową.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Meredith.

- Że jeśli nie będę szczęśliwa, może stąd wyjadę - odparła Gina.

Miała dość dysfunkcyjnych rodzin; kolejna jej nie kusila.

- Rozmawiałaś o tym z Cal'em? - spytał Steve, który wciąż dygotał ze zdenerwowania. O mało nie uderzył McKendricka. Gdyby Cal nie zabrał ojca...

- Nie. Porozmawiam, jeśli to będzie konieczne. - Wiedziała, że Cal nie pozwoli jej opuścić farmy, że każe się opamiętać matce. - Nawet rozumiem, że twojej mamie, Meredith, trudno mnie zaakceptować. Marzyła o innej synowej. O Kym. Lorinda mi o niej wspomniała. - Niestety za późno ugryzła się w język.

- Na wyspie? - Meredith zmarszczyła czoło.

- Przepraszam. Nie powinnam o tym mówić. Cal nie wie. I lepiej, żeby tak zostało. A teraz wybaczcie, wmieszam się w tłum...

- Pamiętaj, Gino, że Cal cię potrzebuje - powiedział Steve.

Potrzebuje syna, pomyślała gorzko, nie mnie.

Kiedy zostali sami, Meredith ścisnęła Steve'a za ramię.

- Nawet nie wiesz, z jak wielką przyjemnością rozkwasiłbym twojemu ojcu nos.

- Oj, wiem. Tata bywa straszliwie apodyktyczny.

- Jest bogaty, może sobie na to pozwolić. Czy Bóg też jest McKendrickiem?

- Ojciec nie może cię zwolnić.

- Mylisz się. Może.

- Cal przemówi mu do rozumu.

- Tak sądzisz? A ja myślę, że zostaniesz wysłana do Europy. A potem wrócisz i wyjdiesz za człowieka, którego wybiorą ci rodzice. Mnie oni nigdy nie zaakceptują.

Ogarnęła ją złość.

- Raczej martw się o to, czy ja cię zaakceptuję!

- Jutro wyjadę. Do południa - oznajmił cierpko. - Może wcześniej. Powiedz Ginie, że jeśli zależy jej na normalnym życiu, to wybrała niewłaściwą rodzinę.

- Steven! Poczekaj, nie odchodź! - Usiłując złapać go za koszulę, potknęła się o wystający z ziemi korzeń i o mało nie upadła. Nawet tego nie zauważył. Oddalał się długimi krokami.

Stała z ręką przytkniętą do szyi. Jako zarządca Steven doskonale zarabiał. Łatwo nie znajdzie drugiej tak dobrze płatnej pracy. Nie była pewna, czy Cal zdoła przekonać ojca, aby nie zwalniał Steve'a. I czy Steve zechce zostać.

Niepoczyszona skierowała się do domu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tuż przed położeniem się spać Gina zajrzała do Robbiego, którego pokój znajdował się po drugiej stronie korytarza. Otworzyła cichutko drzwi, pozwalając, by promień światła padł na twarz chłopca. Na szafce nocnej obok łóżka paliła się mała lampka. Specjalnie zostawiła ją włączoną na wypadek, gdyby synek obudził się w nocy i poczuł zdezorientowany. Chociaż było to mało prawdopodobne, bo zwykle spał jak suseł.

Dziś też spał mocno, tuląc do siebie pluszowego misia. Ogarnęło ją wzruszenie. Nigdzie bez niego się nie ruszał.

Przez wychodzące na werandę duże okno balkonowe widać było księżyc w pełni.

Pragnęła Cala. Chciała, żeby do niej przyszedł. Chciała usłyszeć jego głos. Jak to możliwe, żeby kochać mężczyznę, który złamał nam serce?

Zamknęła drzwi i wróciła do siebie. Okna jej pokoju wychodziły na ogród i dalej na stajnię. Dom, początkowo nieduży, parterowy, był stopniowo rozbudowywany. Dziś składał się z dwóch skrzydeł połączonych centralną częścią. McKendrickowie nie szczydzili pieniędzy.

Czuła się wyczerpana emocjonalnie. Czy to małżeństwo może zakończyć się sukcesem?

- Psiakrew! - mruknęła, waląc pięścią w poduszkę.

- Aż tak źle?

Odwróciwszy się, zobaczyła w progu Cala. Sądząc po jego zafrasowanej minie, też nękały go wątpliwości,

- Jeszcze pytasz? - Ciekawa była, czyby zapukał, gdyby zamknęła za sobą drzwi?

Westchnął ciężko, potwierdzając jej przypuszczenia, że na nim również ten wieczór odcisnął swoje piętno.

- Mogę wejść?

Wzruszyła ramionami.

- Ale zamknij drzwi, żeby nie obudzić Robbiego. Przekonałeś ojca, żeby nie zwalniał Steve'a?

- Z ojcem sobie poradzę. - Przeczesał ręką włosy. - Bardziej niepokoję się o samego Steve'a. Meredith wróciła do domu kompletnie roztrzęsiona. Ojciec potrafi skutecznie zniechęcić każdego, kto się jej podoba.

- Ona nie może się godzić na taki stan rzeczy.

- Oczywiście, że nie. Tym bardziej że Steve jest pierwszym mężczyzną, na którym autentycznie jej zależy. Tak czy inaczej on rano zamierza opuścić farmę.

- Boże! - Gina pokręciła smutno głową. - Rozmawiałeś z nim?

- Chcę mu dać chwilę, żeby ochłonął. I tak nigdzie się nie ruszy, dopóki nie przyleci samolot towarowy.

- A Meredith?

- Co Meredith? - Powiódł po Ginie głodnym wzrokiem.

Nawet bez makijażu, z włosami związanymi w luźny kok, w satynowym szlafroku przewiązanym w pasie i klapkach na nogach wyglądała fantastycznie.

- Podda się bez walki? - Oddech miała przyśpieszony, nie potrafiła zapanować nad pożądaniem.

- Myśmy się poddali - odrzekł Cal.

Po chwili z cichym jękiem opadł na ogromne łóżko z baldachimem.

Wstań! Wyjdź! - błagała go w myślach, wiedząc, że jest zbyt słaba, aby długo oprzeć się pokusie.

- Dlaczego twój ojciec zachował się tak nieprzyjemnie wobec Steve'a?

- Bo mój ojciec czasem bywa nieprzyjemny - odparł Cal, wpatrując się w sufit. - Dla mojego ojca romans pomiędzy członkiem rodziny a personelem jest *verboten*.

Odsunęła się od łóżka. Czy jej związek z Calem też był *verboten*?

- Nazwał Steve'a bękartem...

- Steve jest biologicznym synem jednego z największych producentów wołowiny, niejakiego Gavina Lancastera. Wiele lat temu matka Steve'a wpadła Lancasterowi w oko, no i zaszła w ciążę. Urodził się Steve, który jest podobny do Gavina jak dwie krople wody. Wszyscy wiedzą, kto go spłodził.

- Lancaster pewnie też wie?

- Na sto procent.

- Ale nie chce uznać syna?

- Niestety nie.

Ginie zrobiło się żal Steve'a Lockharta.

- To straszne. A matka Steve'a?

- W owym czasie była mężatką. Jej i mężowi udało się przetrwać kryzys małżeński. Rodzina... Steve ma dwóch braci przyrodnych i siostrę... wyjechała do Nowej Zelandii, kiedy Steve skończył czternaście lat. Od tej pory musiał radzić sobie sam. Przed wyjazdem matka umieściła go w niezłej szkole z internatem.

- Co za wspaniałomyślność! - prychnęła Gina. - Biedny Steve... - Nagle spojrzała w stronę okna. - Zrobiło się cicho. Pewnie przyjęcie w ogrodzie się skończyło.

- Podejrzewam, że duża w tym zasługa mojego ojca - mruknął Cal. - Ale przynajmniej ludzie trochę potańczyli.

- Steve kocha Meredith.

- Może kocha, ale jest bardzo dumnym człowiekiem... - Uniósł głowę znad materaca. - Chodź na moment.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Nie możesz tu zostać.

- Mam wyjść? - spytał ze śmiechem. - W tej chwili?

- Nie, nie musisz w tej chwili.

- Wielkie dzięki, *principessa* - powiedział drwiąco. - No, chodź. Proszę cię.

Marzyła o tym, by wziął ją w ramiona. Powietrze było naelektryzowane.

Czuła, jak z sekundy na sekundę narasta w niej podniecenie. Wolnym krokiem zbliżała się do łóżka. Bała się własnych emocji.

Kiedy odległość między nią a materacem wynosiła niecałe pół metra, Cal poderwał się, z okrzykiem zwycięstwa chwycił jej nadgarstek i przyciągnął ją do siebie. Wylądowali razem na łóżku. Nie spuszczać z niej oczu, przejechał ręką po jej ramieniu, talii, udzie.

- Wreszcie sprowadziłem cię do domu, a tu same kłopoty. Chociaż nie, nie same. Robbie wszystkim podbił serce. - Na moment zamilkł. - Przepraszam za moją mamę, za jej zachowanie podczas kolacji. Nie chciałem urządzać awantury przy stole, ale zapewniam cię, że między nią a ojcem doszło na górze do wymiany zdań.

Gina zacisnęła zęby. Miała ochotę się rozplakać. Cal wtulił twarz w jej szyję.

- Mmm, jak cudownie pachniesz. Jak ukwiecona łąka. - Leżał z przymkniętymi oczami, rozkoszując się zapachem. - Gino, zobaczysz, będzie inaczej. Wszystko się zmieni - szepnął, muskając ustami jej skórę. - Tylko bądź cierpliwa, proszę cię. Wpłynę na rodziców. - Nie mogę cię stracić, dodał w myślach. Drugi raz tego nie przeżyję.

Łzy podeszły jej do gardła. Nie była w stanie dłużej się powstrzymać. Delikatnie przyłożyła dłoń do policzka Cala. Skoro mają być razem, a przecież łączy ich dziecko, po co się miotać, popadać z miłości w nienawiść i z powrotem w miłość?

- Gino? - Uniósł powieki.

Zanim go spotkała, nie знаła nikogo o tak intensywnie zielonych oczach. A teraz Robbie ma identyczne. Cal wsparł się na łokciu.

- Moglibyśmy się pokochać?

Przeniknął ją żar. Mogła wyrazić zgodę lub odmówić. Wiedziała, że Cal uszanuje jej decyzję. Jeśli powie „nie”, czy będzie tego już zawsze żałować? Może więc powinna mu zaufać? Ciągłe powtarzała, że nie chce pamiętać o przeszłości. Nawet nie wyjawiała mu, jaką rolę w jej banicji z wyspy odegrała Lorinda. Czy nie

lepiej patrzeć w przyszłość? Wyciągnąć rękę?

Przecież tego chcesz, usłyszała wewnętrzny głos. Pragniesz Cała. Pragniesz zaspokoić swoje potrzeby erotyczne.

Widział emocje malujące się na jej twarzy, wyczuwał zmianę. Tu nie było miejsca na dumę, pretensje czy żale. Z oczu Giny wyzierało pożądanie.

Przysunęła palce do jego koszuli i zaczęła rozpinać guziki. W nozdrza uderzył ją zapach jego skóry; upajała się nim podobnie jak on jej zapachem. Czowała ciepło, które od niego biło, gładziła włosy porastające klatkę piersiową.

Nie wytrzymał; zerwał koszulę i cisnął ją na bok. Całując Ginę namiętnie w usta, ściągał z niej ubranie. Kiedy została naga, jego ręce rozpoczęły wędrówkę po jej ciele. Nie myślał jednak o sobie, o zaspokojeniu własnej żądzy. Skupiony był na niej.

- Powiedz, czy zdołasz mnie pokochać? - szepnął.

- Kiedyś cię kochałam. - Oczy miała zamknięte, jakby bała się, że z otwartych Cał zbyt wiele wyczyta.

- Na pewno? - Obsypywał ją pocałunkami.

- Wierzyłam we wszystko, co mówisz. - Wygięła plecy w łuk.

- A teraz nie wierzysz? - spytał, na moment odrywając usta od jej łona.

Uważnie obserwował, jak twarz Giny wykrzywia się pod wpływem podniecenia.

- Chcę tylko, żeby nasz syn był szczęśliwy...

- Ja się nie liczę? - zapytał, pieszcząc ją.

- Li...liczysz się... Boże, nie mogę rozmawiać. Nie...

- Wyjdiesz za mnie - szepnął jej do ucha.

- Och, tak!

Uwielbiała czuć na sobie ciężar jego ciała.

- Gino...

- Jestem.

Obróciwszy się na wznak, posadził ją na sobie.

- Niech to trwa i trwa...

Z przyzwyczajenia Cal obudził się skoro świt. Leżeli mocno do siebie przytuleni. Natychmiast poczuł się gotowy do dalszych igraszek, najpierw jednak chciał się przyjrzeć tej cudownej śpiącej kobiecie. Już nie musiał uciekać się do wspomnień; znów miał ją przy sobie. Fizycznie byli idealnie zgrani. Słyszał bicie jej serca. Uderzało w tym samym rytmie, co jego własne.

Gina westchnęła przez sen. Nagle zatrzepotała rzęsami. Po policzku spłynęła jej łza.

- Nie! - szepnęła.

Delikatnie potrząsnął ją za ramię.

- Obudź się. Coś ci się śni. Gino?

Po chwili otworzyła oczy.

- Cal? - Sprawiała wrażenie, jakby wciąż była daleko, w innym świecie.

- Ciii, już dobrze. Miałaś zły sen.

Zadrzała, choć w pokoju było ciepło.

- Śniło mi się, że jestem na wyspie.

- Dlatego płakałaś?

Popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Cal, powiedz mi prawdę. Co do mnie wtedy, przed laty, czuleś?

Obrócił się na wznak.

- Przepraszam - szepnęła.

Przywarł ustami do jej ust w pocałunku, który zdawał się trwać bez końca.

- Szaleję za tobą.

Tym razem, kiedy się kochali, było zupełnie inaczej niż wczorajszego wieczoru. Było tak, jakby szukali zemsty za cztery lata bólu i żalu. Ona czuła się osamotniona w najważniejszym momencie swojego życia; wydała na świat dziecko, a na wsparcie jego ojca nie mogła liczyć. On czuł się zdradzony przez dziewczynę, która w ciągu zaledwie sześciu tygodni zawładnęła jego sercem. Za którą skoczyłby



w ogień. Która nie powiedziała mu, że ma syna. Tak wiele spraw muszą jeszcze rozwikłać, wiele sobie nawzajem wyjaśnić i wybaczyć.

Ale w łóżku stanowili potężną siłę. Jedność. Byli dopasowani pod każdym względem. Kiedy seria orgazmów wstrząsnęła ich ciałami, opadli zziębnięci na materac.

- Nie sprawiłem ci bólu? - spytał Cal.

Boże, czyżby tego chciał, pomyślał z przerażeniem.

- Nie, ale ja cię podrapałam. - Widziała ślady paznokci na jego ramionach i pośladkach. - Weźmy prysznic... Chociaż nie, za chwilę, bo na razie nie mam siły się ruszyć.

Wstał, przeszedł na drugą stronę łóżka, po czym wsunął pod nią ręce i wyprostował się, jakby ważyła tyle co piórko.

Stali pod strumieniem ciepłej wody. Sięgnąwszy po kostkę o zapachu drzewa sandałowego, Cal wolnymi ruchami zaczął namydlać ciało Giny. Sądziła, że jest nasycona, zaspokojona erotycznie, a jednak znów drżała. Oparła się plecami o chłodne śliskie kafelki. Wreszcie Cal się z nią połączył. Przez moment miała wrażenie, że stają się jednym żywym organizmem. Potem zalała ją fala rozkoszy.

Siedział przed domkiem zarządcy. Steve nadjechał dziesięć minut później, wysiadł z pikapa, czerwoną bandaną otarł z twarzy pot. Nie był zdziwiony widokiem Cala.

- Prosiłem Mike'a, żeby uzupełnił zapas wina.

- Słusznie. - Cal skinął głową. - Już wiesz, co będziesz robił?

- O tym zdecydował twój ojciec. Napijesz się kawy?

- Nie odmówię.

Weszli do środka. Dom był przyjemnie urządzone w bieli i beżach. Jedna ściana pomalowana była na niebiesko. Kolor idealnie współgrał z lśniąca drewniana podłoga, niskim tajskim stolikiem, brązową kanapą i fotelami. Meble stanowiły

część tutejszego wyposażenia, ale charakter wnętrzu nadał Steve.

- Siadaj. To zajmie chwilę.

Przeszedł do niedużej kuchni, wsypał do ekspresu kawę ze świeżo zmielonych ziaren sprowadzonych z Nowej Gwinei, po czym wrócił do salonu i zajął miejsce w fotelu naprzeciwko Cala.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał, Steve. Znakomicie się tu spisujesz, a ja ci ufam.

- Doceniam to, Cal. Serio. Ale mam przeciwko sobie szefa.

- A Meredith?

- Cóż ja mogę zaofiarować takiej dziewczynie jak ona?

- Najważniejsze: czy ją kochasz?

Steve zwiesił głowę. Nie odpowiedział.

- Steve?

Podniósł wzrok; w jego oczach czaił się smutek.

- Kocham. Od pierwszego wejrzenia. Ale do niczego między nami nie doszło.

Nie licząc paru pocałunków.

- Jeden pocałunek może zmienić całe życie.

- Psiakość, nawet nie noszę własnego nazwiska! Mama z Lancasterem się o to postarali.

- To nie twoja wina.

- Nie wiesz, jak to jest, Cal. Nazywasz się McKendrick; znasz swoich przodków. Wiesz, kim jesteś.

- Ty też wiesz, kim jesteś! - zaprotestował Cal. - Jesteś porządnym facetem.

Wszyscy na farmie darzą cię szacunkiem i sympatią.

- Z wyjątkiem dwóch najważniejszych osób. Twoich rodziców.

- Rodziców lub innych członków rodziny można kochać, a niekoniecznie lubić. Moi mają dość staroświecki, żeby nie powiedzieć feudalny stosunek zarówno do farmy, jak i do adoratorów Meredith. Podejrzewam, że nie bez znaczenia jest wielkość tej posiadłości i jej odosobnienie.

- Plus pieniądze, władza, wpływy - mruknął Steve. - Powinienem być przyjąć panięskie nazwisko matki zamiast nazwiska Lockhart. Teraz za późno na zmianę.

- Meredith będzie niepokieszona, jeśli wyjedziesz.

- Coś wymyślę.

- Ja już wymyśliłem. Chcesz posłuchać?

- Tylko przyniosę kawę.

Steven oddalił się do kuchni; po chwili wrócił z tacą, na której stały dwa kubki. Aromatyczny zapach unosił się w powietrzu.

- Dzięki. - Cał skinał głową. - No więc co ty na to, żebym wysłał cię do Jingoll? - Była to odległa część farmy położona przy łańcuchu górskim McDonnell, w samym sercu czerwonego odludzia. - A Casha Hammonda ściągnął na twoje miejsce? To porządny gość, chociaż nie ma twojego doświadczenia.

W Steve'a wstąpiła nadzieja.

- Ojciec by się temu nie sprzeciwił? - spytał na wszelki wypadek.

- Nie żartuj. Sam wiesz, że ojciec rządzi tylko w teorii, a tak naprawdę to ja o wszystkim decyduję. Jeśli powiem ojcu, że wysyłam cię do Jingoll, nie będzie protestował.

- A Meredith? Już się z nią nie zobaczę? - Steve wypił łyk gorącej kawy; o mało się nie oparzył.

- To zależy od was. Ona ma spory fundusz powierniczy.

- Do jasnej cholery! - Steve z hukiem odstawił kubek na stół.

- Nie wściekaj się. Przecież wiem, że nie tknąłbyś jej forsy. Chodzi mi tylko o to, że Meredith może robić, co jej się żywnie podoba. Ma ku temu środki.

- Ale jeśli przyjedzie do mnie, czy rodzice jej nie wydziedziczą? - Popatrzył Calowi prosto w oczy.

- Wszyscy musimy dokonywać wyboru, Steve.

Kiedy godzinę później wrócił na farmę, od razu udał się na poszukiwanie sio-

stry. Musiał jej opowiedzieć o swojej rozmowie ze Steve'em. Nie był pewien, czy Meredith spodoba się pomysł wyjazdu Steve'a do Jingoll. Bądź co bądź to ponad tysiąc kilometrów od Wzgórza Koronacyjnego.

Wszedł do domu tylnymi drzwiami. Z gabinetu ojca dobiegały głosy; po chwili rozpoznał głos matki i Giny. Zazwyczaj nie starałby się iść ciszej, dziś jednak skradał się po dywanie. Przystanął metr od otwartych drzwi.

- Więc to tak było? - spytała z nutą rezygnacji Gina.

- Coś należało zrobić - warknęła Jocelyn. - Mój syn miał poślubić dziewczynę, którą znał od dziecka. Zanim wyjechał na wyspę, byli niemal zaręczeni.

- Teraz wszystko rozumiem - kontynuowała Gina, nie słuchając matki Cala. - Pani siostra, piękna, elegancka Lorinda, poinformowała mnie w sposób niezwykle przekonujący, że po powrocie do domu Cal ożeni się z dziewczyną, którą cała rodzina kocha. A ja... ze mną po prostu chce się wyszumieć, zanim za kilka miesięcy zostanie przykładnym mężem wspaniałej Kym.

- Bo tak było! - zawołała Jocelyn.

Gina w dalszym ciągu jej nie słuchała. Sprawiała wrażenie, jakby porządkowała swoje myśli:

- Więc pani i jej siostra uknuły sprytny plan. Lorinda powiedziała Calowi, który miał do niej bezgraniczne zaufanie, że błagałam ją, aby pomogła mi uciec z wyspy. I wyznałam, że w domu czeka na mnie chłopak, za którego obiecałam wyjść za mąż. Mój ojciec, podobnie jak pani, do wszystkiego się wtrącał; lubił trzymać stery w rękach. Nie miałam żadnego chłopaka. Ale to bez znaczenia. Lorinda wyjaśniła Calowi, że wystraszyłam się tego, co zrobiłam, i uznałam, że muszę wracać do chłopca, który na mnie czeka. Pamiętam jej słowa: „Moje drogie dziecko, chyba zdajesz sobie sprawę, że ciebie i mojego siostrzeńca dzieli bezdenna przepaść?”.

- Bo to prawda! - oznajmiła Jocelyn. - Tylko że wtedy było już za późno. Twoja ciąża...

- Jak mogłabym żałować? Było mi ciężko. Ojciec wyrzucił mnie z domu. Ale urodziłam dziecko, syna Cala. Wiem, że co innego sobie pani wymarzyła, ale wkrótce Cal i ja się pobierzemy. Robbie jest dla nas najważniejszy. Jeżeli chce pani zachować miłość syna, powinna pani zapomnieć o przeszłości i skupić się na dniu dzisiejszym.

Jocelyn odebrało mowę. Przez moment milczała, po czym wybuchnęła:

- Śmiesz mi dawać rady?

Pora się ujawnić, pomyślał Cal. Staął w otwartych drzwiach gabinetu, z całej siły usiłując powściągnąć emocje. Matka jak zwykle miała na piersi sznur pereł. Siedziała przy ogromnym biurku, na którym nie leżał ani jeden papierek. Sprawami papierkowymi zajmowała się Meredith. Gina stała przed biurkiem, zwrócona plecami do drzwi.

Jocelyn pierwsza go zauważyła. Zbladła jak ściana.

- Cal, jak długo tu jesteś?

Gina obejrzała się przez ramię. Na jej twarzy również odmalowało się niezadowolenie.

- Nie słyszałyśmy twoich kroków.

Wszedł do środka i otoczył Ginę ramieniem.

- Podśluchiwałem. Powinienem to robić częściej, zważywszy na to, ile osób w tym domu kłamie.

Gina westchnęła ciężko.

- Nasza rozmowa nie była przeznaczona dla ciebie - rzekła.

Chciała dojść do porozumienia ze swoją przyszłą teściową, nie wciągając w to Cala.

- Kazałam ci zamknąć drzwi - mruknęła Jocelyn, powoli odzyskując kolor na policzkach.

- Wiem. Należało, ale byłam zdenerwowana...

- A myślisz, że ja nie?

- Chryste, mamó! - Cal nie wytrzymał. - Ale się dobrałyście, ty i Lorinda! W głowie mi się nie mieści, jaki byłem głupi. Ufałem ciotce. Zawsze obdarzała mnie ciepłym uczuciem. Nie ma co, wspaniale z was aktorki! Uwierzyłem we wszystko, co mi mówiła...

- Ja również - szepnęła Gina.

- Chcę, żeby to było jasne, Cal - wtrąciła Jocelyn. - Lorinda kierowała się wówczas w swoich działaniach wyłącznie troską o ciebie. Próbowала cię ustrzec przed popełnieniem wielkiego błędu.

- Wielkim błędem były moje zaręczyny z biedną Kym. A tobie i ciotce chodziło tylko o to, żeby zniszczyć mój związek z Giną. Nigdy wam tego nie zapomnę! Jocelyn wzdrygnęła się. Tak groźnej nuty nie słyszała jeszcze w głosie syna.

- Ależ, Calvinie, chcieliśmy dobrze. Cała rodzina liczyła, że ożenisz się z Kym. Byłam wdzięczna Lorindzie, że dała mi znać, co się dzieje. Może trudno ci w to teraz uwierzyć, Gino, ale moja siostra autentycznie cię lubiła. Uważała, że jesteś piękną mądrą dziewczyną, tylko niestety nie pasowałaś do nas. Chciała oszczędzić ci cierpienia.

Gina roześmiała się gorzko.

- Nie oszczędziła.

- Nie zapominajcie o mnie - warknął Cal. - Przez trzy lata nie wiedziałem, że mam syna. Mój syn przez trzy lata nie miał ojca. A może wszystkie trzy myślicie, że ojciec nie musi uczestniczyć w wychowaniu dziecka?

Gina milczała. Jocelyn opuściła wzrok.

- Co, cisza? Nie macie żadnych wyrzutów sumienia?

Starsza kobieta zwilżyła wyschnięte wargi.

- Robert jest fantastycznym chłopcem. - Powiedziała to takim tonem, jakby wręczała Calowi gałązkę oliwną. - Prawdziwym McKendrickiem. Jestem pewna, że bardzo się zaprzyjaźnimy.

- Nigdy byś się o nim nie dowiedziała, gdyby Mere przypadkiem nie znalazła

w gazecie artykułu o Ginie - wytknął matce Cal. - To jej zawdzięczamy obecność Roberta w naszym życiu.

- Czasem los się do nas uśmiecha - szepnęła Gina.

- Czyli co teraz? - spytała Jocelyn.

- Teraz, mamó, zastanów się nad sobą. Jeśli wystąpisz przeciwko Ginie, wystąpisz przeciwko mnie. Gina będzie moją żoną, jest matką mojego syna. Kocham cię, i dobrze o tym wiesz, ale nie zamierzam tolerować twoich intryg. Chcemy w spokoju i miłości wychować Robbiego. Już raz narobiłaś szkód, na więcej ci nie pozwolę.

Obróciwszy się na pięcie, wyszedł z gabinetu, zostawiając dwie zaskoczone kobiety.

Godzinę później Robbie, który ganiał po parterze, odkrywając różne ciekawe miejsca, ujrzał babcię w pokoju pełnym kwiatów. Dla dziecka przyzwyczajonego do trzypokojowego mieszkania ogromny dom na farmie był fascynującym światem. Na przykład w pokoju, w którym siedziała babcia, rosły drzewa sięgające sufitu! I stały wielkie donice, wyższe od niego, z których wylewały się kwiaty. Barwne kwiaty i paprocie wylewały się też z zawieszonych u sufitu koszy. Jeszcze nigdy w życiu nie widział tak bujnej roślinności.

Mama lubiła kwiaty, szczególnie lilie. Przed jej powrotem z pracy często wychodził z ciocią Rosą do ogrodu i zrywał bukiet. Czasem mama zabierała go do Ogrodu Botanicznego, ale to miejsce, Wzgórze Koronacyjne, było zupełnie wyjątkowe. Stał tu jeden wielki dom, prawie zamek, a wokół mnóstwo mniejszych dla pracowników farmy. Nie było tu ulic ani latarni, autostrad ani wieżowców, kawiarni ani sklepów, nie jeździły tu autobusy ani pociągi. Było za to dużo ciężkiego sprzętu, był samolot i helikopter, było mnóstwo krów, emu, kangurów, podobno również krokodyli, no i tysiące ptaków oraz koni.

Nie mógł się doczekać kucyka, którego obiecał mu tata. Najbardziej chyba

podobała mu się ta ogromna przestrzeń, która ciągnęła się aż za horyzont! Tak, Wzgórze to niczym zaczarowane królestwo. I on, Robbie, w nim mieszka!

- Cześć, babciu! - zawołał uradowany jej widokiem. Zatrzymawszy się przed nią, nagle posmutniał. - Ojej, płaczesz?

Jocelyn starała się powstrzymać strumień łez. Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna i niezrozumiana. Oczywiście mogła winić wyłącznie siebie. Mąż miał do niej pretensje; wczoraj wieczorem się pokłócili. Ukochany syn źle o niej myślał. Zżerała ją zazdrość, bo dotychczas była najważniejszą osobą w jego życiu. Teraz Gina zajęła jej miejsce. Zdała sobie sprawę, że musi zmienić swoje podejście, inaczej wszyscy się od niej odwrócą.

Powinna jeszcze raz porozmawiać ze swoją przyszłą synową: przeprosić ją, zaproponować, aby zaczęły wszystko od nowa.

- Babciu? - spytał niepewnie chłopczyk, wystraszony, że jego nowa babcia źle się czuje.

- Oczy mam mokre, ale nic mi nie jest - odparła, siłąc się na pogodny ton. - Powiedz, kochanie, co porabiasz?

Chłopiec przysunął się bliżej i popatrzył jej w twarz.

- Dlaczego jesteś smutna?

- Jak mogę być smutna, mając takiego cudnego wnuka? - Uśmiechnęła się.

Robbie stanął na paluszkach i cmoknął ją w policzek.

- Tu jest tak ładnie, babciu. I teraz to będzie mój dom, prawda?

- Prawda, kochanie. - Lód, który osiadł w jej sercu, coraz szybciej topniał.

- Moja mamusia też jest bardzo ładna, prawda?

Chłopczyk wziął babkę za rękę i wbił w nią swoje zielone oczy.

Są jak moje, pomyślała.

- Tak, kochanie. Jest piękna i wspaniale cię wychowała. I wiesz co? Wkrótce wszyscy będziemy się świetnie bawić na weselu. Domyślam się, że wystąpisz w roli pazia?



- A co robi paż?

- Chodź, pokażę ci zdjęcia twojego dziadka, kiedy był paziem na kilku ślubach. Potem zaczął się wykręcać, że niby jest za duży. Z kolei ciocia Meredith jako mała dziewczynka niosła przed parą młodą koszyczek, z którego sypała kwiatki. Wszystko jest na zdjęciach.

- A ty też na nich jesteś, babciu? Mamusia powiedziała, że musiałaś być panną młodą jak z bajki...

Uśmiechając się czule, Jocelyn pocałowała wnuczka w czubek głowy.

- Byłam, kochanie, byłam. I miałam takie same włosy jak twoja mamusia. Do samej pupy.

- Jak Królowna Roszpunka? - Robbie zachichotał.

- Roszpunka niech się schowa!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bardziej ze względu na konia niż na siebie przeszła z galopu w trucht, a nad rzeczką - miejscu szczególnie jej teraz bliskim - zeskoczyła na ziemię i usiadła pod drzewem na porośniętej kwiatami trawie. Wiedziała, że Steven nie zostanie na farmie. Nie po tym, jak arogancko potraktował go jej ojciec. To takie niesprawiedliwe. Steven jest owocem romansu swojej matki z Gavinem Lancasterem. Cóż winne jest dziecko? On jednak dźwigał na barkach to brzemię.

Po południu pewnie zerwie się tropikalna burza, ale na razie niebo miało kolor błękitu. Meredith była wdzięczna za lekki wiatr, który poruszał liśćmi i chłodził jej nagrzane ciało. Wśród trzcin porastających brzeg rzeczki brodziły dwa długonogie żurawie australijskie; ptaki te łączyły się w pary na całe życie. Ona też tak chciała: połączyć się z ukochanym człowiekiem do grobowej deski.

Przypomniała sobie, jak Steven ją całował, jak pieścił. Rękami i ustami przekazywał ogrom swojego uczucia. Wczoraj jednak bardziej była pewna jego miłości

niż dzisiaj...

Nad gładką powierzchnią rzeki kołowało stado kaczek; wyglądały tak, jakby podziwiałały swoje odbicie w wodzie. Na drugim brzegu przysiadły na drzewach fantazyjnie ubarwione papugi. W gałęziach migotała zieleń, żółć, szafir, czerwień, pomarańcz. Australia słynęła z ogromnej różnorodności odmian papug, ale chyba po raz pierwszy ich widok nie zachwycił Meredith. Po prostu była zbyt przybita, aby cieszyć się pięknem natury.

Psiakość, musi porozmawiać ze Stevenem.

Wróciwszy do stajni, przekazała konia jednemu z pracowników, po czym mijając Eda z Rosą, którzy łaknęli swojego towarzystwa, skierowała się w stronę domków dla personelu. Idąc, rozmyślała o swoim ojcu i o tym, ileż to razy wtrącał się w jej życie. Zamierzała się temu stanowczo przeciwstawić. Hm, wcześniej nie czuła takiej potrzeby. Najwyraźniej Steven jest pierwszym facetem, na którym jej naprawdę zależy.

Wbiegła po drewnianych schodkach. Kiedy uniosła głowę, zobaczyła go na wprost siebie.

- Cześć. - Jego twarz niczego nie zdradzała.

- Mogę wejść? - spytała zdenerwowana.

- Jasne. - Odsunął się, robiąc jej przejście. - Sprawiasz wrażenie zmęczonej. -

Miała sińce pod oczami.

- Nie spałam.

- Napijesz się kawy? Zaparzyłem dla Cala, był tu z samego rana, ale chętnie zaparzę świeżej...

Potrząsnęła głową.

- Nie trzeba. Chyba że ty masz ochotę. - Na moment zamilkła. - Nie rozmawiałam z bratem. Zaraz po śniadaniu wyszłam na przejażdżkę. Lepiej mi się myśli na koniu. Powiedz, co ustaliliście?

- Usiądź.

Usiadła i rozejrzała się po salonie. Domek Stevena był wygodny, przyjemnie urządzony; panował w nim porządek.

- Mieszkasz tu ponad dwa lata, a ja dopiero dziś po raz pierwszy jestem w twoim domu. - Roześmiała się. - O czym to świadczy?

- Że jesteś córką szefa, a ja zarządcą.

Przełknęła ślinę. W gardle jej zaschło.

- Jednak napiłabym się czegoś chłodnego.

- Może być woda mineralna? - Obejrzał się przez ramię.

Z trudem powściągnął impuls, by wziąć Meredith w ramiona.

- Tak. - Zacisnęła dłonie na kolanach. - No i na czym stanęło? - spytała, kiedy wrócił.

- No właśnie, Meredith. Na czym? - Podał jej szklanekę.

- Proszę cię, Steven. Wiesz, ile dla mnie znaczysz.

- Czy tyle, abyś chciała wyjechać dziś ze mną? - Patrzył na nią z wyzwaniem w oczach.

Serce zabiło jej mocniej.

- Samolotem towarowym? - spytała.

Jak? Kiedy? Dokąd? Co miałyby spakować? Czy umiałyby stawić czoło plotkom?

- Tak. Masz bardzo niepewną minę.

- Bo mnie zaskoczyłeś. - Jej oczy błagały go o zrozumienie.

- Zgodziłabyś się, gdybyś mnie kochała.

- Dziś... samolotem... Nie wiem, Steven. - Potrząsnęła głową. - Po prostu nie wiem. - Potrzebowała czasu.

- W porządku - oznajmił takim tonem, jakby od początku spodziewał się odmowy. - Pytałaś, co z Calem ustaliliśmy. A więc Cal podjął za mnie decyzję. Lecę do Jingoll, a Cash Hammond wraca tutaj.

- Co? - Ledwo powstrzymała łzy. Co było o tyle dziwne, że przywykła do

skrywania uczuć. - Jingoll leży za Alice Springs.

- Więc? - Jej smutek dodał mu skrzydeł.

- Więc co będzie z nami? Jak mamy się widywać? Chciałam nauczyć się latać, ale ojciec się sprzeciwił. Nawet Cal nie zdołał go przekonać.

- Jesteś bogata. - Steven wzruszył ramionami, udając, że niewiele go to obchodzi. - Wynajmij samolot. Pogadaj z Jimem Pitmanem. Mógłby cię przywieźć na tydzień lub dwa. - Miał ochotę tulić ją, całować, lecz robił, co mógł, aby ułatwić jej zerwanie.

- Kochasz mnie? - zapytała. - Czy sam nie wiesz? Bo w sumie dość słabo się znamy.

- To prawda - potwierdził.

Widział, że ogarnia ją strach. Nic dziwnego. On, Steve Lockhart, nie ma nic do stracenia. A ona?

- Muszę skończyć się pakować - dodał.

Czuła klucie w sercu.

- Może kiedyś się jeszcze spotkamy? - Wstała, unikając jego wzroku.

- No pewnie. Ciągłe organizowane są rodea, wyścigi, festyny...

- Przepraszam cię, Steven. Przepraszam za wszystko.

Wpatrując się w podłogę, ruszyła w stronę drzwi. Walczyła z naporem łez. Kiedy mijala Stevena, pochwycił ją w objęcia i przywarł ustami do jej ust w namiętym gorącym pocałunku. Wreszcie ją puścił. Przytknęła rękę do serca, które waliło tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

- To na pamiątkę - mruknął. - Żebyś mnie zapamiętała.

Samolot skierował się na południowy kraniec posiadłości McKendricków w pobliżu gór McDonnell. Na północy przeważał krajobraz tropikalny, tu pustynny.

Zmiana na stanowisku zarządcy odbyła się gładko. Wszyscy wiedzieli, że Steve pracował jako zarządca na Wzgórzu Koronacyjnym; plotkowano, że Cal

McKendrick przysłał go do Jingoll, aby tutejsza hodowla bydła brahmin cieszącego się uznaniem w całym kraju osiągnęła jeszcze lepsze wyniki. Nikt nie miał nic przeciwko temu. Może Lockhart jest młody, ale najwyraźniej zna się na rzeczy.

Nie lenił się. Od razu rzucił się w wir pracy. Zmęczenie pozwalało na moment zapomnieć o bólu. O Meredith myślał jednak bez przerwy. Z dala od niej zastanawiał się, co zrobić, by ją uwieść. Po paru tygodniach wybrał się służbowo do Alice Springs. Leżące niemal w samym środku kontynentu miasto było ważnym centrum handlowym, a także popularnym obiektem turystycznym. Stąd turyści mieli blisko do wspaniałych pomników przyrody takich jak: Uluru, Kata Tjuta, Mount Connor, Devil's Marbles, Rainbow Valley czy King's Canyon.

Skończywszy interesy, Steve wstąpił do baru, by wypić zimne piwo i coś zjeść. Siedział przy ladzie obok miejscowego gaduły, kiedy do środka wpadł jakiś starzec o długich siwych włosach i długiej siwej brodzie. Podniecony, coś wykrzykiwał.

- Co on mówi? - spytał Steve, nieszczerze zainteresowany głośnie paplaniem.

- Barney to pijaczyna. Żłopie od ponad czterdziestu lat - mruknął Pete, który ze smakiem pałaszował kanapkę.

Barney, niezrażony, dalej perorował. Dopiero po dłuższej chwili wszyscy zapłapali, o co chodzi. A wtedy w barze nastąpiła cisza jak makiem zasiał.

- A niech mnie! - zawołał Pete, zupełnie jakby umarł ktoś ważny.

- Proszę państwa, tym razem Barney się nie pomylił - oznajmił właściciel baru. - Właśnie otrzymałem wiadomość, że Gavin Lancaster, jego syn, ich zarządca i jeszcze jeden pasażer zginęli w drodze do Darwin. Prowadzona przez LancasteraCESSNA rozbiła się pięćdziesiąt kilometrów na północny-wschód stąd. Wrak zauważył z powietrza nasz latający doktor.

Pete wbił oczy w Steve'a.

- Chryste, to twój stary! - zawołał. - Prawda? Jesteście podobni jak dwie kro-

ple wody! Od razu to wiedziałem!

Steve milczał. Bał się odezwać. Miał ochotę rzucić się do ucieczki, świadom był jednak kierowanych w jego stronę ukradkowych spojrzeń. Ludzie wszędzie tak reagowali.

- Powiedz sam: istnieje na świecie sprawiedliwość czy nie? - ciągnął filozoficznie Pete.

- O co ci chodzi? - mruknął Steve, gdy wreszcie udało mu się wydobyć głos.

- Słuchaj. Wszyscy zawsze mówili, że Lancaster przed nikim nie czuł strachu. A ja myślę, że czuł. Przed Stwórcą. I kto wie, może postanowił wynagrodzić ci krzywdę i umieścić cię w testamencie?

Steve parsknął śmiechem.

- Nie znał mnie. - Zsunął się ze stołka, chcąc jak najszybciej opuścić bar.

Teraz już wszyscy się na niego gapili, jakby miał nazwisko Lancaster wypisane na czole.

- Tak myślisz? - Pete zadumał się. - A mnie się zdaje, że się mylisz. W końcu ja cię z miejsca rozpoznałem. Oczywiście nic nie mówiłem; nie chciałem, żebyś rozkwasił mi nos. Żartuję. Sprawiasz wrażenie porządnego człowieka, całkiem innego niż stary Lancaster, Panie świeć nad jego duszą. - Przeżegnał się. - Założę się, że wkrótce skontaktują się z tobą jego prawnicy.

- Prędzej ty niż ja, Pete - powiedział Steve.

Kiedy wrócił do Jingoll, wysłuchał kilkunastu nagranych na sekretarkę wiadomości. Wszystkie dotyczyły wypadku samolotowego. Jedna była od Cala z wyrazami współczucia. Oczywiście McKendrickowie zamierzali wybrać się na pogrzeb, oddać hołd zmarłym.

Hołd zmarłym... Jednym z nich był jego biologiczny ojciec, drugim brat przyrodni, Brad. Mimo to Steve nie zamierzał uczestniczyć w ceremonii pogrzebowej. Lancasterowie mieli go w nosie. On ich również.

A jednak się mylił.

Los znów zainterweniował.

W dniu pogrzebu panował bezlitosny skwar, a na horyzoncie kłębiły się ciężkie ołowiane chmury. Nikt się nimi nie przejmował. W tej części kraju niebo czasem przybierało kolor smoły, a ziemia pozostawała sucha. Tak więc groźba burzy nie powstrzymała żałobników, którzy ściągnęli tu dosłownie z całej Australii.

Dwie córki Gavina Lancastera, wysokie eleganckie kobiety w wieku około czterdziestu lat, stały nad grobem pogrążone w bólu. Nie płakały. Obok nich stał ich brat przyrodni, Steven. To Catherine, starsza z sióstr, nalegała, aby przyjechał i zajął miejsce u ich boku. Miejsce, które mu się należało. Wzruszyła go swoim telefonem.

Podobieństwo między nimi było tak silne, że poczuł się częścią rodziny. Mężowie sióstr nie mogli być obecni: jeden, wybitny ekonomista, przebywał na konferencji w Stanach; drugi, kardiolog, miał dyżur w klinice.

Wiele się wydarzyło w ciągu tygodnia po wypadku. Otóż człowiek, który całe życie nie przyznawał się do Steve'a, zostawił mu sześćdziesiąt procent udziałów w spółce Lancaster Holdings. A prawnik, który - o dziwo - bardziej przypominał dobrotliwego pastora niż bezwzględne biznesmena, poinformował go, że Gavin Lancaster uważnie śledził wszystkie jego poczynania. Dzięki pieniądзом Lancastera Steve mógł studiować na prestiżowej uczelni, później zaś dzięki jego wsparciu dostał pracę na farmie McKendricków.

Ale to nie wszystko. Lancaster trzymał w biurku świadectwa szkolne Steve'a, wycinki z gazet o jego sukcesach sportowych oraz mnóstwo fotografii. Steve o niczym nie miał pojęcia. Kiedy oglądał albumy, zalała go fala wzruszenia. Okazało się, że człowiek, którego nienawidził, tak naprawdę się o niego troszczył. Tyle że na odległość.

Może jego żona by mnie nie zaakceptowała? - przemknęło Steve'owi przez myśl.

Ponownie usłyszał w głowie słowa prawnika:

- Nie rozumiałem jego postępowania. Na szczęście postarał się wynagrodzić ci krzywdę. Z siostrami nie będziesz miał problemów; nie będą się do niczego wtrącać. To wspaniałe mądre kobiety, które wyszły za mężczyzn niezwiązanych z branżą hodowlaną. Będziesz mógł swobodnie zarządzać Euroką. Cal McKendrick wysoko ceni twoje umiejętności, więc wierzę, że ci się uda. A gdybyś potrzebował pomocy prawnej, zawsze chętnie ci służyć. - Uśmiechając się serdecznie, starzec zdjął okulary. - Pozwolisz, że jako pierwszy ci pogratuluję. Życzeniem twojego ojca było, abyś przyjął nazwisko Lancaster. I słusznie, bo ci się prawnie należy.

No proszę, jak w bajce, pomyślał Steve. Jest bogaty. Tyle że pieniądze nie mogą wynagrodzić nieobecności ojca w życiu dziecka. Oddałby wszystko, żeby tylko móc dorastać w normalnej, kochającej się rodzinie.

Podczas stypy na farmie Euroka wszyscy odnosili się do niego z szacunkiem. Nic dziwnego, z dnia na dzień stał się człowiekiem mającym ogromną władzę. Wraz z przyrodnimi siostrami krążył po salonie, witając gości i dziękując im za przybycie. Bardziej on służył wsparciem siostrom, niż one jemu. Ale nic dziwnego: Cate i Sarah kochały ojca bez względu na jego wady i uwielbiały brata, który podobno bał się wziąć na siebie odpowiedzialność za farmę.

- Brad nie miał duszy hodowcy - powiedziała ze łzami w oczach Cate. - Przerażała go myśl o tym, że kiedyś będzie musiał zająć miejsce taty. Marzył o spokojnym życiu. No i teraz takie ma. W grobie.

Obróciwszy się, Steve nagle znalazł się twarzą w twarz ze starszymi McKendrickami.

- Catherine i Sarah liczą na twoje wsparcie i pomoc. - Jocelyn poklepała go przyjaźnie po ramieniu.

Po chwili dołączył Cal z Giną; uścisnęli go serdecznie.

- Ależ nas życie potrafi zaskakiwać - powiedział lekko oszołomiony, gdy został sam z Meredith.

- To prawda. - Nie mogła oderwać od niego oczu. Miał na sobie szyty na



miarę czarny garnitur, czarny krawat, śnieżnobiałą koszulę; wyglądał na człowieka niesamowicie przystojnego i dystygowanego. - Powiedz, jak się miewasz?

- Jestem bogaty. Teraz nawet twoi rodzice gotowi są zapomnieć o przeszłości i przyjąć mnie do swojego kręgu. - Zerknął na Cala i Ginę. - Piękna z nich para. A gdzie Robbie?

- Z Rosą i Edem. Po dziesięciu latach samotnego życia Ed chyba zamierza się oświadczyć.

- To dobrze. A Gina z Calem jak sobie radzą?

- Wciąż leczą rany. Po twoim wyjeździe wyszło na jaw, że mama z ciotką uknuły spisek, żeby ich rozdzielić.

- Dlaczego to mnie nie dziwi?

- Dostaniesz zaproszenie na ślub.

- Jasne. Teraz, jak już jestem bogaty...

- Wiem, co czujesz - szepnęła.

- Nie, nie wiesz. - Buzowały w nim sprzeczne emocje. Z jednej strony miał ochotę porwać ją w ramiona, z drugiej urządzić jej piekielną awanturę. - Bo skąd możesz wiedzieć? Ale wyglądasz pięknie. Do twarzy ci w czerni.

Popatrzyła nad jego ramieniem na Cala i Ginę.

- Niepotrzebnie przyjechałam. Przepraszam.

- Potrzebnie, Meredith. Musimy porozmawiać.

Utkwiła w nim zaskoczone spojrzenie.

- O czym?

- Wiele się w moim życiu zmieniło. Ledwo wszystko ogarniam.

- Poradzisz sobie. Rozmawiałam z twoimi siostrami. Lubią cię.

- To fantastycznie kobiety. - Wyraz jego twarzy złagodniał. - Nigdy nie zapomnę, że wyciągnęły do mnie rękę. Zbyt długo żyłem zdany wyłącznie na siebie.

- To się teraz zmieni - powiedziała łagodnie.

- Jasne. Teraz z łatwością rozwiążę wszystkie moje problemy. Mam pienią-

dze, zarządzam jedną z największych hodowli w kraju. Mogę zdobyć dziewczynę, na której mi zależy. Zdobyć, nie kupić, bo ona jest bogata z domu. Ale jak pogadam z jej ojcem, pewnie się nie sprzeciwi.

- Uważasz, że tylko tego ci trzeba? - Ręce jej drżały. - Zgody mojego ojca?

- Ojej, myślałaś, że mówię o tobie? Zobaczysz, trafię na listę najbardziej pożądanym kandydatów na męża. Media zrobią szum. Syn marnotrawny wraca na łono rodziny. Ludzi interesują wyłącznie pieniądze!

- Przeciwnie, mnie one w ogóle nie interesują. Tobą też straciłam zainteresowanie. Jesteś przesiąknięty goryczą!

Oczy lśniły mu złowrogo.

- A ty jesteś bogatą młodą kobietą, która jeszcze nie nauczyła się stać na własnych nogach.

Powietrze wokół nich zdawało się naelektryzowane.

- Dziwię się, że w ogóle zwróciłeś na mnie uwagę. A teraz pozwolisz, że się pożegnam. I życzę ci, abyś był bardzo szczęśliwy.

- Jakie to urocze. - Chwycił ją za nadgarstek. - Jeśli teraz odejdziesz, nigdy więcej mnie nie zobaczysz - szepnął jej do ucha.

Nie rozumiała jego zachowania.

- Prosisz, żebym została? - spytała niepewnie.

- Każę ci zostać - odparł. - Naprawdę myślałaś, że cię puszczę? - Przyciągnął ją do siebie.

- Oszalałaś! - Nie chciała się wyrywać i robić sceny.

- Wcale nie. A teraz idź i powiedz swojej rodzinie, że nie wracasz z nimi. Że od dziś rozpoczynasz nowe życie.

Było nieuniknione, że prędzej czy później Cal z Giną natkną się na Kym. Tak też się stało. Przywitała się z nimi serdecznie, maskując uśmiechem zazdrość - maskując przed innymi, lecz nie przed Calem. Podejrzewał, że również nie przed Gi-

ną, która doskonale potrafiła wyczuć cudzy nastrój.

Zmierzyła Ginę uważnym spojrzeniem, usiłując znaleźć w niej jakąś skazę. Nie znajdziesz, pomyślał Cal. Wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego Gina nie skontaktowała się z nim, kiedy odkryła, że jest w ciąży. Nawet gdyby był zaręczony z Kym, a przecież w owym czasie nie był, zerwałby zaręczyny i ożenił z nią, matką swojego dziecka.

Zadał jej to pytanie.

- Bałam się, że mi odbierzesz Robbiego - odparła.

- Skąd ci to przyszło to głowy?

- Ze strachu. Bałam się ciebie, twojej rodziny.

Kym, która odchorowała zerwane zaręczyny, znów była głęboko nieszczęśliwa. Podtrzymywana na duchu przez Jocelyn McKendrick wierzyła, że wkrótce Cal się opamięta i zrozumie, iż są dla siebie stworzeni. Niestety on sprowadził na farmę dziewczynę, dla której przed laty stracił głowę, oraz jej, a raczej ich syna, który - zdaniem Jocelyn - stanowił żywą kopię swojego ojca. Ona, Kym, nie miała już żadnej szansy.

- Liczę, Gino, że zostaniemy przyjaciółkami - powiedziała do kobiety, która skradła serce jej wymarzonego mężczyzny. - Życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego.

Robiąc dobrą minę do złej gry, uśmiechnęła się promiennie. Nie zniosłaby tego, gdyby drzwi Koronacji zostały przed nią zamknięte. I gdyby Cal całkiem się od niej odwrócił.

- To była twoja dawna narzeczona? - spytała Gina. - Ona wciąż cię kocha.

Na drugim końcu zatłoczonej sali Cal spostrzegł znajomych, którym chciał przedstawić Ginę.

- Mam nadzieję, że wkrótce spotka mężczyznę, który ją uszczęśliwi. Dość czasu spędziła, wzdychając do mnie.

Najpierw musi o tobie zapomnieć, pomyślała Gina. Raczej wątpiła, czy kie-

dykolwiek zdoła zaprzyjaźnić się z Kym. Natomiast jej przyjaźń z Meredith kwitła. Meredith była cudowną osobą, zasługiwała na szczęście, które mógł jej ofiarować Steven Lockhart, a raczej Steven Lancaster. Znane nazwisko i majątek sprawiły, że McKendrickowie zaczęli patrzeć na niego łaskawym okiem.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wczesnym popołudniem dom opustoszał; żałobnicy wsiedli do samolotów, helikopterów, ciężarówek, autobusów, samochodów i wyjechali. Wyjechała także Catherine z Sarah. Wcześniej siostry ze dwie godziny rozmawiały ze Stevenem o sprawach rodzinnych; były zrozpaczone po śmierci ojca i brata, ale szczęśliwe, że jest jeszcze jeden Lancaster, który zajmie się Euroką.

- Nie wiem, co byśmy zrobiły, gdyby los nam ciebie nie zesłał - szepnęła Catherine.

Obie spieszyły się do swoich córek. Nie zabrały ich na pogrzeb; po pierwsze dziewczynki chodziły do szkoły, a po drugie, ani dziadek, ani wujek nie przejawiali nimi większego zainteresowania. Siostry uważały, że byłoby inaczej, gdyby urodziły chłopców.

- Na szczęście ich ojcowie kochają je do szaleństwa.

- Przy najbliższej okazji chcę poznać moje siostrzenice - rzekł Steve.

- Spodobasz im się - szepnęła Sarah, ocierając łzy.

Miała rację.

Zostali sami w wielkim pustym domu. To niesamowite, pomyślała Meredith, jak często ludzie cierpią w milczeniu, ze strachu przed odrzuceniem, tłumiąc uczucia. Dlaczego miłość, która powinna kojarzyć się wyłącznie ze szczęściem i radością, dostarcza również bólu?

Przez czarne, srebrzyste i fioletowe chmury, które gęstniały na niebie, przeźierały się czerwone promienie zachodzącego słońca. Meredith stała na weran-

dzie, wpatrując się w horyzont. Wraz z nastaniem zmierzchu upał wcale nie zelżał; przeciwnie, coraz bardziej dawał się we znaki. Ulewny deszcz przynajmniej na chwilę schłodziłby powietrze.

Doug Winstone, dotychczasowy zarządca, kuśtykał w stronę domu. Jego dziwny chód spowodowany był wypadkiem sprzed kilku lat, kiedy to rozwścieczony byk zmasakrował mu nogę.

- Muszę z nim pogadać - oznajmił Steve. - Poproś, żeby jeszcze raz podziękował za wszystko Julie.

To właśnie żona Douga, która sprzątała i gotowała u Lancastera, wraz z żonami innych pracowników roznosiła wśród głodnych gości zamówione przez Cate kanapki i ciasteczka.

Meredith obserwowała pogrążonych w rozmowie mężczyzn. Chociaż fizycznie stanowili swoje przeciwieństwo - Steven był młody, wysoki, szczupły, Doug niski, krępy, o szerokiej szyi, szerokich ramionach i potężnej klatce piersiowej - szybko się dogadali. Po ich zachowaniu widać było, że jeden drugiego darzy zaufaniem.

Odsunęła się od poręczy, z której zlaźła farba; warto by ją pomalować. Weranda oplatała niemal cały dom, ale tylko na parterze. Hm, przydałby się balkon czy taras na piętrze; bez trudu można by coś takiego dodać.

Dom zbudowany był w stylu regencji z elementami wiktoriańskimi; w porównaniu z domem na Wzgórzu Koronacyjnym wydawał się dość nijaki, ale miał potencjał. Wystarczyłoby dorzucić kilka elementów dekoracyjnych, odnowić podłogi, balustrady, pomalować okiennice. Na werandzie zasadzić kwiaty, puścić kwieciste pnącza...

Nikt nie był zdziwiony, że Meredith postanowiła zostać na farmie Lancasterów, ani Cate z Sarah, ani Winstone'owie. Najwyraźniej wszyscy wierzyli, że są kochankami. Serce zabiło jej mocniej. Czowała, że jest na zakręcie, że w najbliższych godzinach rozstrzygnie się jej przyszłość.

Mężczyźni zakończyli rozmowę. Doug przytknął palce do kapelusza, Meredith pomachała mu na pożegnanie.

- Co ja tu robię? - spytała, wchodząc za Steve'em do holu.

Długi, wąski, z drewnianymi schodami tuż przy drzwiach do salonu, nie bardzo się jej podobał. Gdyby schody umieszczono trochę dalej...

- To chyba oczywiste. - Przez cały ostatni tydzień Steve miał wrażenie, że śni. On, który zawsze był samotnikiem, nagle znalazł się w centrum wydarzeń. - Do-trzymujesz mi towarzystwa. Inaczej wróciłabyś do domu.

- Hm - mruknęła pod nosem, choć w środku drżała z podniecenia. Byli sami, tylko we dwoje, a ona przezornie się zabezpieczyła.

- Więc tak wygląda Euroka. - Przeszli do salonu.

- Dość tu ponuro, prawda? - Steve rozejrzał się wkoło. - Nie zdziwiłbym się, gdyby w tym domu straszło.

- Ponuro i zimno - odrzekła, oczami wyobraźni widząc zmiany, jakie można by wprowadzić.

Na przykład pozbyć się ciężkich welurowych zasłon. Kto słyszał o welurowych zasłonach w środku australijskiego buszu? Zamiast nich powiesiłaby coś w jasnych pastelowych barwach. Salon umeblowany był antykami, lecz wydawał się zaniedbany. Czegoś w nim brakowało... Czyżby kobiecej ręki?

- Brakuje tu kobiecej ręki - oznajmił Steve, jakby czytał w jej myślach. - Ciekawe, jak dawno temu zmarła matka Cate i Sarah. Nie mówiły, a ja nie chciałem pytać.

- Oj, dawno. Chyba miały po dwadzieścia kilka lat, a teraz są po czterdzieście.

- Dotknęła zasłon; były sztywne ze starości. - Obie wcześniej wyszły za mąż.

- Pewnie chciały wyrwać się z domu. Chryste, co za okropne miejsce.

- Zapuszczone. Jak większość domów zamieszkałych przez samotnych mężczyzn.

Na jednej ścianie wisiało wielkie lustro w poślacanej ramie. Spostrzegłszy

swoje odbicie, Steve zasepił się. Wydawało mu się, że patrzy na obcego faceta. Może wszystkiemu winny był ciemny garnitur, który Cate dla niego przywiozła? Pierwszy raz w życiu miał na sobie coś takiego.

- Zmieniłem się czy wyobraźnia płata mi figla? - spytał, odwracając się do Meredith.

Nawet nie musiała się zastanawiać.

- Zmieniłeś się.

Nie spodobała mu się ta odpowiedź.

- W jaki sposób?

- Zostałeś bogatym hodowcą. Zająłeś należne ci miejsce. Masz okazję się wykazać.

- Wykazać?

- Przepraszam, nie chciałam cię urazić. - Skrzywiła się. - Może pieniądze szczęścia nie dają, ale na pewno dodają pewności siebie.

- Tobie nie dodały.

- Próbujesz się odgryźć?

- Chyba tak. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Sam nie wiem. To miejsce działa mi na nerwy. Jak mam się tu zadomowić?

- Poradzisz sobie. - Znów powiodła wokół wzrokiem.

Czuła się niczym wezwana na pomoc dekoratorka wnętrz.

- Część mebli powinieneś zatrzymać, część wyrzucić. Przydadzą ci się nowe kanapy, nowe zasłony, i koniecznie trochę koloru. Warto powiększyć okna, dodać kilka azjatyckich elementów, powiesić jakiś ładny obraz. - Zamilkła. - Masz za sobą ciężki dzień.

Wziął głęboki oddech, po czym wypuścił powietrze.

- Tak, pochowałem ojca i przyrodniego brata, którego ani razu nie widziałem. Jak to możliwe, że nigdy nie chciał mnie poznać?

Smutek w jego głosie sprawił, że Meredith o mało się nie rozpląkała.

- Gavin Lancaster był dziwnym człowiekiem. Podejrzewam, że trzymał swoich bliskich w ryzach. Pewnie przykazał im, żeby nie szukali z tobą kontaktu. - Odwróciła się, by nie widział jej oczu.

- Przynajmniej Cate i Sarah zależy na podtrzymaniu więzi rodzinnych - rzekł łagodnie. - Wszystko jednak mogłoby potoczyć się inaczej. Ale nie ma sensu tego wałkować.

- Zainterweniował los. Powrót do domu był ci pisany.

- Naprawdę uważasz, że Euroka jest moim domem?

Meredith skinęła głową.

- Tak, to twoje dziedzictwo. Ojciec cię skrzywdził, ale w końcu postanowił naprawić swój błąd.

Steve podniósł ze stolika małą figurkę z brązu przedstawiającą jeźdźca na koniu.

- Nie wiedział, że umrze. Tym bardziej nie przypuszczał, że jego syn i spadkobierca zginie wraz z nim.

- Tak zdecydował los. Przeznaczenia się nie uniknie.

Kierowali się z stronę przyległego do salonu pokoju, kiedy nagle Steve przystanął. Dreszcz przebiegł mu po plecach.

- Jesteś pewna, że nikt za nami nie idzie?

- Jak na faceta, który trzeźwo stąpa po ziemi, masz bujną wyobraźnię - odparła, odruchowo się wzdrygając.

- Aha, też to czujesz!

- No, niestety - przyznała. - Aż się boję zostać sama w nocy.

- Kto mówi, że musisz?

Zerknął na nią spod oka. Marzył o tym, aby ją przytulić, ale instynkt kazał mu zachowywać się przyzwoicie.

- Ja. Masz trzymać się ode mnie z daleka.

Ruszyła przodem. Po chwili weszli do nieco mniejszego pokoju, który - mimo



zapalonego w nim światła - wydawał się strasznie ponury. Na ścianach wisiało mnóstwo portretów. Zaczęła je studiować.

- Żadna z tych osób nie sprawia wrażenia szczęśliwej - stwierdził Steve, oglądając obrazy ponad jej ramieniem. Korciło go, aby musnąć wargami jej szyję.

- Faktycznie, są jacyś przybici. Odziedziczyłeś twarz po przodkach.

- Wszyscy od lat to powtarzają. Wolałbym odziedziczyć nazwisko.

Stała przed obrazem kruchej damy w białym szlafroku z jedwabiu.

- W końcu je odziedziczyłeś.

- To prawda - mruknął ironicznie. - Teraz nawet twoi rodzice patrzą na mnie łaskawym okiem. Napijemy się czegoś?

- Chętnie. Kieliszek wina. - Nie potrafiła zapanować nad nerwami. Wiedziała, że ulegnie Stevenowi, że wystarczy jedno jego słowo, jeden gest. Czy mrowienie, które czuje, nie jest najlepszym dowodem na to, że go kocha? - Ciekawe, czy Gavin zbudował sobie piwniczkę?

- Wątpię.

- Trzeba sprawdzić. Ale najpierw chciałabym się przebrać. Cate zostawiła mi trochę ciuchów, żebym miała co na siebie włożyć.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Jesteście podobnej budowy, ale o ile ty jesteś szczupła i wysportowana, Cate jest po prostu chuda. - Podrapał się po brodzie. - Dobra, ja też się przebiorę, a potem możemy poszukać czegoś do jedzenia. Te kanapki znikły w mgnieniu oka. Nawet jednej nie skosztowałem.

- Ja też nie.

- Najwyraźniej po pogrzebie ludziom chce się jeść.

- I pić - dodała Meredith. Żałobnicy opróżnili nie tylko mnóstwo dzbanków kawy i herbaty, ale również wiele butelek whisky.

- Nie podobają mi się te schody - oznajmił Steve, podziwiając nogi idącej przed nim dziewczyny. Szpilki zdecydowanie dodają seksapilu.

- Mnie też nie. - Nie przyznała się, że w myślach już je przeniosła w inne miejsce.

- Którą wolisz sypialnię?

- Chyba Cate. - Skreśliła do przestronnego pokoju z oknami od frontu. - A ty?

- Tę naprzeciwko. - Steve wskazał za siebie. - Nie chcę się za bardzo od ciebie oddalać - dodał drwiącym tonem. - Widzę, że jesteś zdenerwowana.

- Bo to obcy dom - odparła butnie. - Poza tym w takim dniu... po pogrzebie...

Wolnym krokiem skierował się do drzwi, udając, że się niczym nie przejmuje.

- Zanoszę się na burzę. Gdybyś się bała, przychodź. Nie musisz czekać na zaproszenie.

- Wybacz, Stevenie. Chyba zapomniałeś, że pochodzę z Terytorium Północnego.

Przystanął w progu.

- Może się zdziwisz, ale tutaj burze z piorunami są o wiele gorsze. No dobra, idę się pozbyć garnituru. Zapukaj, jak będziesz gotowa. Poszukamy piwniczki. I może znajdziemy również coś do jedzenia.

W pokoju Meredith obejrzała rzeczy, które Cate dla niej przygotowała. Prosta sukienka w granatowo-białe wzory, z krótkimi marszczonymi rękawami i podwójną falbaną u dołu, była idealna. Granatowe sandały na płaskim obcasie okazały się pół numeru za duże, ale to nie przeszkadzało. Obok leżała różowa koszula nocna z wyhaftowanymi różyczkami oraz pasująca do niej bawełniana podomka.

Meredith zamknęła solidne mahoniowe drzwi i zaczęła się rozbierać. Oby wieczorem nie zapomniała przekręcić klucza w zamku.

- O kurczę! - Nie kryjąc zdziwienia, Steve rozejrzał się po ogromnym pomieszczeniu w piwnicy.

Wzdłuż sufitu ciągnęły się grube drewniane belki; ściany i podłoga były z surowego kamienia. W jednej części znajdowały się specjalne stojaki na wino, w drugiej dwa skórzane fotele, kominek - noce tutaj bywały bardzo chłodne - oraz długi

stół z ośmioma krzesłami. Nad kominkiem wisiał realistyczny obraz olejny przedstawiający stado krów przekraczających rzekę.

- Ktoś tu lubił spędzać czas - stwierdziła Meredith, szukając u dołu płótna nazwiska malarza.

- Na co masz ochotę?

- Białe, poproszę. - Zadrżała. W piwniczce było znacznie chłodniej niż na górze. - Sauvignon blanc.

- Proszę bardzo. - Steven wręczył jej butelkę, sam zaś ruszył na poszukiwanie shiraz.

Do szczęścia brakowało mu kawałka soczystego steku. Ale może znajdzie coś w lodówce? Przecież Euroka to farma hodowlana.

Steków nie znalazł, znalazł za to szynkę, boczek, sporo jajek, śmietanę, mleko, ser, kosz czerwonych pomidorów oraz torbę pełną pieczarek, a w pojemniku na pieczywo świeżo upieczony bochen chleba.

- Składniki w sam raz na śniadanie - powiedziała Meredith, obwiązując się w pasie czystym fartuszkiem. Wyjęła z kartonu sześć jajek. - To co, jajecznicą?

- No proszę. Nie dość, że piękna, to jeszcze kulinarnie uzdolniona. - Steve wyjął z torby kilka pieczarek i oczyścił je ściereczką. - Może być jajecznicą. Dać ci kieliszek czerwonego, póki białe się nie schłodzi?

- Poproszę. - Westchnąwszy, wbiła jajka do miski, dodała łyżkę gęstej śmietany.

- Poszukam kieliszków. - Zaglądał kolejno do różnych szafek, zanim wreszcie znalazł kryształowe. Wyjął dwa, nappełnił ciemnoczerwonym płynem, po czym jeden postawił na szafce przy Meredith.

- Dzięki. - Pociągnęła łyk.

Było wyborne w smaku. Nagły podmuch wiatru otworzył kuchenne drzwi.

- Nadciąga burza - zauważył Steve, zamykając je. - Zobaczysz, będzie lało.

Srebrzyste błyskawice przecinały niebo; ich ostry blask wdzierał się jej pod

powieki. Meredith wcisnęła twarz w poduszkę. Mogła zasłonić okno, ale nie chciała spać w ciemnościach. W sypialni panował nieprzyjemny chłód. Zastanawiała się, czy nie wstać i nie poszukać jakiegoś koca. Nie mogła liczyć na to, że Steven przyjdzie ją ogrzać.

Psiakość, chyba głupio postąpiła. Przecież zależy jej na nim, a jednak zażądała, by się do niej nie zbliżał.

- Dobranoc, Meredith - rzekł neutralnym tonem.

- Dobranoc, Steven - odparła nieszczęśliwa, nie dając nic po sobie poznać.

Oboje byli straszliwie głodni; ze smakiem zjedli wszystko, co Meredith przygotowała. Na deser były lody i brzoskwinie z puszki. Do tego wino oraz kawa, którą Steven zaparzył. Rozmawiali o prowadzeniu tak ogromnej farmy; oboje doskonale się na tym znali.

Meredith podsunęła kilka pomysłów, które Stevenowi przypadły do gustu. Nawet żartem zaproponował jej u siebie pracę. Dyskutowali o jego obowiązkach, o tym, kto go zastąpi w Jingoll, tylko jednego tematu konsekwentnie unikali: tego, co ich łączy, co z nimi będzie i czy w ogóle cokolwiek będzie. Pożądanie od spełnienia dzieliła przepaść. Trudno było ją pokonać jednym skokiem.

Czy naprawdę Steve nie zdaje sobie sprawy, że tamtego dnia, gdy poprosił ją, aby z nim wyjechała, nie mogła rzucić wszystkiego i z dnia na dzień opuścić rodzinnej farmy? Miała zobowiązania. Potrzebowała trochę czasu, by uporządkować sprawy zawodowe, potem spakować się...

Oczywiście rozumiała Stevena, który od dziecka był zdany na siebie i nie musiał liczyć się z uczuciami innych. Rodzina zostawiła go, kiedy był nastolatkiem. Musiał to być straszny cios dla tak młodego chłopca. Kiedy zaproponował jej wspólny wyjazd do Jingoll, a ona odmówiła, pewnie rozumiał, co nią kieruje, lecz odmowę potraktował jak odtrącenie.

Zamyśliła się. Całe dorosłe życie kontrolowała emocje. Czekwała na odpowiedniego mężczyznę i odpowiedni moment. Ten moment właśnie nadszedł. Ale

zanim zdążyła cokolwiek zrobić, los ponownie zainterweniował.

Około trzeciej nad razem zaczął padać deszcz, a potem rozpętała się burza. Lało jak z cebra, wiatr dudnił w szyby, targał zasłonami. Zapaliwszy lampkę na stoliku nocnym, Meredith zerwała się z łóżka, ale zanim dobiegła do okna, podłoga w sypialni zamieniła się w jezioro.

Oślepiąca błyskiem piorunu, z trudem domknęła jedno okno. Stała mokra - cienka koszula dosłownie lepiła się jej do ciała - kiedy nagle drugie okno wyleciało z zawiasów i z hukiem rozbiło się w drobny mak.

Odruchowo odskoczyła w tył, by odłamki jej nie poraniły. Bała się zrobić krok; wszędzie dookoła lśniły kawałki szkła.

- Meredith? - Steven walił pięścią w drzwi.

- Otwarte!

Wpadł do pokoju boso, bez koszuli, w niedopiętych dżinsach, które wciągnął w pośpiechu.

- Nie ruszaj się! - polecił, natychmiast orientując się w sytuacji.

- Uważaj! Też masz boscie nogi - ostrzegła go, ocierając krople deszczu z twarzy.

Ściągnął z łóżka poduszkę, parę razy przejechał nią po mokrej podłodze, następnie, stąpając po oczyszczonym ze szkła terenie, wziął Meredith na ręce i przeniósł na drugi koniec pokoju.

- Jesteś przemoczona do nitki.

- Ty też.

Jego czarne włosy i tors lśniły od deszczu. Ale ciało miał rozgrzane, podczas gdy ona dygotała z zimna.

- Poczekaj, przyniosę ręczniki.

Skierował się pośpiesznie do łazienki, zapalił światło. Meredith podreptała za nim. Po chwili Steven zarzucił jej na ramiona wielki puszysty ręcznik, a drugim, mniejszym zaczął wycierać jej włosy.

- Zdejmij koszulę.

- Mam się rozebrać na twoich oczach? - spytała spod ręcznika, którym energicznie suszył jej głowę.

- W porządku. Odwróć się. - I tak też zrobił. Odłożył ręcznik i odwrócił się plecami.

- Deszcz wciąż wlewa się do pokoju... - Ściągnęła mokrą koszulę. Serce waliło jej jak młotem, zęby dzwoniły z zimna. Owinęła się różowym ręcznikiem.

- Miejmy nadzieję, że burza minie, a przynajmniej wiatr zmieni kierunek. Ale zaraz sprawdzę, czy nie da się zasłonić okna. Mogę się odwrócić?

- Tak - odparła spięta, świadoma własnej nagości.

- Cały czas obserwowałem cię w lustrze.

Po jej ciele przebiegł dreszcz podniecenia.

- Żartuję - dodał po chwili, odgarniając jej kosmyki z czoła.

- To wcale nie jest śmieszne.

- Masz rację. Daleko mi do śmiechu. - Zmierzył ją spojrzeniem i raptem jego twarz wykrzywił grymas. - Noga ci krwawi.

- Serio? - Nie czuła żadnego szczypania czy pieczenia.

- Pokaż - poprosił zatroskany.

- Powinniśmy się najpierw zająć oknem. - Wiedziała, do czego te oględziny mogą ich zaprowadzić.

- Oknem zajmę się, jak przestanie padać. A na razie chcę zobaczyć twoją nogę.

- Nie pamiętam, żebym stanęła na kawałku szkła...

Padające z góry światło podkreślało czerń jego włosów, kropelki wody na skórze, gładkość ramion, umięśnione ciało. Czy można się jej dziwić, że ledwo panowała nad pożądaniem?

- Musiałaś. - Ujął w dłoń jej stopę. - Hm, na szczęście nie wygląda to groźnie.

- Sięgnął za siebie po paczkę chusteczek. - Przytrzymam, dopóki nie przestanie

krwawić. - Oczy lśniły mu figlarnie, kiedy napotkał jej wzrok. - Paluszki u nóg masz równie śliczne, jak u rąk.

Zarumieniła się, jakby usłyszała najwspanialszy komplement na świecie.

- Niewiele osób o tym wie - szepnęła.

Uniósł wyżej jej stopę i przycisnął usta do podbicia, po czym zaczął całować całą stopę.

- Steven... - Nie zdołała powstrzymać jęku.

- Boże, jesteś taka piękna! - Po chwili wyraz pożądania w jego oczach ustąpił miejsca zatroskaniu. - Na pewno nic ci się nie stało? Dobrze się czujesz?

Oparła głowę na jego ramieniu i westchnęła.

- Brakuje mi ciebie. Nawet nie wiesz, jak bardzo się za tobą stęskniłam. Pragnę cię.

- A ja ciebie. - Wyprostował się i przyciągnął ją do siebie. - Powiedz, że mnie kochasz. Inaczej nigdy cię nie puszcze.

Przytuliła się. Co za rozkosz znów znaleźć się w jego objęciach!

- Nie puszczaj. Tu mi dobrze.

- Tu? Ale ja chcę cię zabrać do mojego pokoju, do mojego łóżka. - Popatrzył jej w oczy.

Włosy miała potargane, twarz zarumienioną.

- To znaczy... chcesz się ze mną kochać?

- Bardzo chcę. I będę. - Powiódł spojrzeniem po jej gołych ramionach, po dekolcie okrytym różowym ręcznikiem. - Przypadkiem nie jest ci za gorąco?

Całe jej ciało przenikał żar. Niczego już nie udawała, nie próbowała powściągnąć uczuć.

- Zanim zdejmę ręcznik, czy mogę ci zadać jedno pytanie?

- Pewnie. - Zacisnął wokół niej mocniej ramiona. - Pytaj, o co chcesz.

Roześmiała się wesoło.

- Jakie masz wobec mnie zamiary, Steven?

- Szatańskie! - odparł, muskając wargami jej usta. - Ale chyba o tym wiesz? Że cię pragnę, że chcę, abyś wyszła za mnie za męż...

Na moment wzruszenie odebrało jej głos.

- Hej, popatrz na mnie. - Ujął ją za brodę.

Dreszcz przebiegł jej po plecach. Czuła żar bijący z dłoni Stevena i lekko piżmowy zapach jego skóry, widziała srebrzyste kropelki deszczu, które wciąż połyskiwały na jego piersi. Przysunąwszy się, zlizwała kilka. Były niczym afrodyzjak o potężnej sile działania: jeszcze bardziej wzmogły jej pożądanie.

- Czy przyjechałabyś do mnie, gdyby nie ta katastrofa lotnicza? - spytał, domagając się uczciwej odpowiedzi. - Czy zdobyłabyś się na odwagę?

Otworzyła usta. Wypłynął z nich potok słów, których nie potrafiła już powstrzymać.

- Przyjechałabym. Na sto procent. Przepraszam za tamto nasze ostatnie spotkanie. Poczuleś się zawiedziony. Nie, nie zaprzeczaj. Tak było. Ale ja chciałam... naprawdę chciałam. Odcisnąłeś na mnie piętno, trwałe i nieusuwalne. Nie pozwoliłabym ci zniknąć na zawsze z mojego życia. Słowo. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Proszę, uwierz mi. Nikt by mnie nie powstrzymał przed...

Nie dokończyła. Potok słów został nagle przerwany.

Steven przywarł ustami do jej ust. Całował ją namiętnie, bez opamiętania. W głowie się jej zakręciło. Ręcznik, którym była owinięta, osunął się, tworząc miękką kałużę u ich stóp. Jej młode piersi wbijały się w jego twarde tors. Nie przerywając pocałunku, Steven gładził jej aksamitną skórę. Nagle uniósł głowę, odsunął się pół kroku i w milczeniu napawał jej widokiem. Nigdy nie sądziła, że można czuć się tak piękną i kochaną.

Wziął ją na ręce i przeniósł do siebie. Na łóżko. Patrzył w jej oczy, z których wyzierało pożądanie.

- Od dziś jesteś moja - oznajmił triumfalnie.

Dokonał ważnego odkrycia: że bez Meredith nie umie i nie chce żyć. Marzył



o tym, aby się w nią wtopić; chciał czuć, jak ona go tuli, jak ściska w pasie nogami.

Opuściwszy głowę na poduszkę, zamknęła powieki. Kiedy je otworzyła, pochylał się nad nią z taką tęsknotą i pożądaniem w oczach, że dłużej nie mogła wytrzymać.

- Chodź... kochaj mnie... błagam...

Nie wahał się. Oszołomiony widokiem tej cudownej kobiety, jej gładkim ciałem i zmysłowym głosem, ochoczo spełnił jej prośbę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Życie jest pełne niespodzianek.

Niemal z dnia na dzień w Jocelyn zaszła całkowita zmiana. Kobieta, która dawniej nie potrafiła ukryć gniewu, gdy coś działo się nie po jej myśli, nagle złagodniała i postanowiła zaakceptować istniejący stan rzeczy.

Niemalby wpływ na jej zachowanie miał Robbie. Nie ulegało wątpliwości, że autentycznie pokochała wnuka. Chłopczyk, który był pięknym, radosnym dzieckiem, przepadał za dziadkami. Gina podejrzewała, że gdyby Cal wrócił na Wzgórze Koronacyjne z samym Robbiem, Jocelyn nie posiadałaby się ze szczęścia. A tak... po prostu zrozumiała, że nie warto robić sobie wrogów, tym bardziej że reszta rodziny przyjęła ją, Ginę, z otwartymi ramionami. Ewan sprawiał wrażenie, jakby całe życie właśnie o takiej synowej marzył.

Zmienił się również stosunek McKendricków do Steve'a Lancastera, młodego człowieka, do którego jeszcze niedawno Ewan ział nienawiścią. Kiedy Meredith wróciła z Euroki szczęśliwa, promienna i zakochana, cała rodzina z radością przyjęła wiadomość o jej zaręczynach.

- Czy to nie wspaniałe? - Meredith uśmiechnęła się do brata. - Wreszcie po latach uzyskałam ich aprobatę.

Gina znalazła syna w pięknej oranżerii, którą Robbie nazywał pokojem ogrodowym. Siedział przy małym okrągłym stoliku wraz z Rosą i Edem, którzy postanowili zająć się edukacją chłopca, i oglądał duży kolorowy album.

- Dokąd się wybierasz, cara? - spytała Rosa, choć strój jeździecki Giny właściwie wystarczał za odpowiedź.

Rosa z dumą zmierzyła chrześnicę wzrokiem: dziewczyna miała fantastyczną figurę. Jeśli zaś chodzi o lekcje jazdy konno... Rosa wolałaby, aby Ginę uczył kto inny, a nie Jocelyn McKendrick. Podobno jednak w młodości Jocelyn była znakomitą amazonką i nadal świetnie trzymała się w siodle. Zaproponowała, że w tajemnicy przed Calem nauczy ją jeździć.

To miała być dla niego niespodzianka.

- Mamusiu! - zawołał z podnieceniem Robbie. - Stryj Ed przyniósł mi książkę o planetach! Wiesz, co znaczy słowo planeta?

Gina podeszła do stolika i pocałowała syna w policzek.

- Nie wiem, misiaczku. Powiedz mi.

- Oznacza wędrowca, bo planety wędrują po niebie.

- Tak uważali starożytni Grecy - wyjaśnił mu Ed. - Bo wszystkie planety krążą wokół Słońca. Poruszają się w tym samym kierunku, po własnej orbicie... Masz bardzo mądre dziecko, Gino - zwrócił się z uśmiechem do jego matki. - Robbie niczym gąbka wchłania wiedzę. Jesteśmy z Rosą zachwyceni.

Rosa wyciągnęła rękę i zacisnęła na dłoni mężczyzny.

Jeszcze przegonią nas w drodze do ołtarza, pomyślała z czułością Gina. Ale musieliby się bardzo pośpieszyć. Zaproszenia zostały już rozesłane. Miała to być cicha uroczystość na pięćdziesiąt osób. Żadne z nich nie chciało hucznego przyjęcia. Każdej nocy Cal przychodził do niej do sypialni. Kochali się, a potem on leżał obok niej, dopóki nie zapadła w sen. Łączył ich fantastyczny seks, ale stracili do siebie zaufanie; musieli zapomnieć o bólu, o żalach i pretensjach. Potrzebowali czasu, żeby mogli sobie nawzajem wybaczyć i ponownie zaufać.

Umówili się, że do ślubu, przez wzgląd na Robbiego, nie będą otwarcie dzielić sypialni. Gina nie mogła się już doczekać. Rozmawiali o podróży poślubnej: nie chcieli wyjeżdżać bez małego. Miłość między ojcem a synem rozkwitła w niesamowitym tempie. I o to Cal miał do niej największe pretensje: że pozbawiła go cennych trzech lat życia syna. Bała się, że nawet jeśli jej to kiedyś wybaczy, to nigdy o tym nie zapomni.

Dwie minuty po wyjściu z oranżerii zjawiała się przed stajnią zbudowaną wśród pięknych drzew. Obok znajdowała się otoczona białym płotem zagroda, plac, na którym tresowano konie, oraz średniej długości tor. Jocelyn, szczupła, wyglądająca niezwykle młodo, czekała przed bramą. Obok stały konie osiodłane przez stajennego. Dla Giny przygotowano kasztanową klacz o imieniu Arrola, co w języku aborygenów znaczyło „piękna”; miała gwiazdę na czole i cztery białe skarpety na nogach.

- Idealny koń dla nowicjuszek - oznajmiła Jocelyn.

Arrola wysunęła aksamitny pysk, jakby domagając się pieśczot.

Podczas pierwszej lekcji Gina modliła się tylko o to, by nie spać. Pięć lekcji później wciąż się o to modliła, ale już nie tak żarliwie. Jocelyn była świetną nauczycielką; nie okazywała żadnych oznak zniecierpliwienia czy niezadowolenia, kiedy Gina nie potrafiła czegoś prawidłowo wykonać. Gina nie miała, jak McKendrickowie, jazdy konnej we krwi, ale powoli zdobywała szlify; zresztą z taką trenerką jak Jocelyn po prostu nie miała wyboru.

Jocelyn sama wybierała trasę - zawsze miejsce odludne, by nikt nie doniósł Calowi o tym, co się dzieje. Bądź co bądź to ma być niespodzianka.

Dziś jechały zalesioną ścieżką wzdłuż wyschniętego odnóża rzeki. Zaczynała się pora deszczowa, ale ziemia wciąż pozostawała twarda, ubita.

Gina siedziała wyprostowana; łydki i uda znacznie mniej ją bolały niż na początku. Dwadzieścia minut później Jocelyn zwiększyła nieco tempo. Zapach kwiatów polnych wypełniał powietrze. W oddali w promieniach słońca migotała w rzece

woda; na pewno brodziły w niej ptaki, może wylegiwał się krokodyl.

Czując przypływ adrenaliny, Gina spięła konia. Coraz bardziej podobał się jej galop.

Nadjeżdżając od strony rzeki, Cal usłyszał tętent koni. Dopiero jednak gdy wyłonił się spomiędzy drzew, w chmurach kurzu zobaczył pierwszego jeźdźca, który najwyraźniej nie panował nad galopującym koniem. Po chwili dojrzał drugiego, który pędził za pierwszym. W drugim rozpoznał matkę.

- O Chryste! - szepnął, nie wierząc własnym oczom.

Za moment wydarzy się tragedia.

Bez chwili zwłoki wprowadził swojego wałacha w pełny galop. Jak to możliwe? - powtarzał nerwowo w myślach, patrząc na Ginę. Grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Jeśli cokolwiek się jej stanie... Zgubiła kapelusz; włosy powiewały jej na wietrze.

Rozpoznał konia. Arrola jest spokojna i łagodna, ale musiała się czegoś wystraszyć, bo gnała spanikowana w kierunku drzew. Gina rozpaczliwie usiłowała przytrzymać się końskiej grzywy. Jeżeli spadnie na ziemię, połamie sobie kości. Jeżeli nie spadnie, wówczas wjedzie na rozpędzonej klaczy w gąszcz drzew, a tam... Tam uderzy głową w pień albo zahaczy o wiszący konar i skreśli sobie kark.

Dlaczego nie powiedział jej, jak bardzo ją kocha? Dlaczego ją obwinił, że nie skontaktowała się z nim, kiedy dowiedziała się o ciąży? Oczywiście powinna była, ale czy on musi ją dalej karać? Na pewno była przerażona tym odkryciem. Tyle czasu zmarnował! Pielęgnował żale, zamiast starać się o nich zapomnieć. Nawet gdy dowiedział się o spisku matki i Lorindy, nadal winił Ginę.

A teraz...

Teraz uświadomił sobie, że może ją stracić. Że może nigdy nie będzie miał szansy wyznać jej, jak bardzo ją kocha. Dotychczas próbował ukryć swoje uczucia, zarówno przed sobą, jak i przed nią. Żałował tego. Psiakrew, Gina może zginąć, nie wiedząc, ile dla niego znaczy...

Nie, nie zginie. On na to nie pozwoli.

Koń matki, Dunbar, był wspaniałym zwierzęciem. Pędził na złamanie karku, ale nie miał szansy dogonić klaczy. Czyżby matka... Nie, Cal szybko odrzucił tę myśl. Jocelyn miała mnóstwo wad, ale umyślnie nigdy by nikomu nie wyrządziła krzywdy. Nawet kiedy spiskowała z Lorindą, nie działała w złej wierze; była przekonana, że ratuje syna przed popełnieniem błędu.

Blady z przerażenia, gnał przed siebie. Jeszcze nigdy tak szybko nie galopował. Jeżeli Bóg istnieje, nie dopuści do tej tragedii, nie pozwoli, aby Gina zginęła.

Pas startowy rósł w oczach. Słabszy jeździec musiałby zwolnić. Wałach doskonale sobie radził na ubitej ziemi. Może nie był tak silny jak ulubiony ogier Cala, ale cudownie reagował na każdą komendę. Jocelyn też grozi niebezpieczeństwo. Powinna jak najszybciej zapanować nad Dunbarem, zanim koń wbiegnie między drzewa.

Zmuszając się do maksymalnego wysiłku, Cal wreszcie zrównał się z klaczą. Teraz oba konie pędziły, jakby się ścigały.

- Trzymaj się, Gino! - krzyknął Cal, chwytając jej wodze.

Boże, błagam, nie zawieź mnie!

Na wprost pojawiła się pierwsza linia drzew.

Miał piekielnie ciężkie zadanie: zatrzymać oba konie. Wałach zareagował na polecenie; klacz dalej wyrywała się do przodu. Cal zaparł się z całej siły, aby przypadkiem nie ściągnęła go z siodła. Szarpnął mocno. Arrola nie poddawała się; koniecznie chciała gnać do lasu.

Lekko poluzował, po czym ponownie szarpnął wodze.

- Spokojnie, mała, spokojnie...

Z pomocą wałacha wyczulonego na każdy jego ruch i gest wreszcie zapanował nad spanikowaną klaczą. Od drzew dzieliło ich ze dwadzieścia metrów.

Gina padła w objęcia Cala. Tak mocno zacisnął wokół niej ramiona, jakby nigdy nie zamierzał jej wypuścić. Przestał grać; już nie potrafił ukryć emocji.

Po chwili podjechała do nich Jocelyn; była blada jak ściana.

- Boże, Cal... - Dyszała. - Tylko ty mogłeś tego dokonać. Gdybyś się nie pojawił, Gina by zginęła.

Jedną ręką obejmując Ginę, Cal podszedł do matki i pomógł jej zsiąść z Dunbara. Łzy płynęły po jej twarzy strumieniem.

- To moja wina, moja wina - powtarzała. - Przepraszam, synu. Chciałyśmy ci zrobić niespodziankę.

- Co się stało? - spytał.

Widział, że matka jest zbyt roztrzęsiona, aby dało się z nią normalnie rozmawiać, lecz tę jedną odpowiedź chciał usłyszeć. Gina znajdowała się w stanie szoku. Dygotała na całym ciele.

- Kangur! - Matka, która nigdy nie używała brzydkich słów, zakląła siarczyście. - Ginie tak świetnie szło, że uznałam, że czas na mały galop. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nagle drogi nie przeciął nam kangur. Napędził klaczy strachu, Dunbar też się wystraszył i stanął dęba. Gdyby Gina miała większe doświadczenie, powściągnęłaby konia. No a tak Arrola puściła się pędem, jakby chciała zdobyć Puchar Melbourne. Nawet nie przypuszczałam, że potrafi tak gnać. Przepraszam. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby Ginie coś się stało. - Patrzyła z przerażeniem w oczy syna.

- Wiem, mamó - powiedział łagodnie.

Po chwili Jocelyn wzięła się w garść.

- Wracajmy do domu. - Wsiadła z powrotem na konia. - Kieliszek brandy dobrze nam zrobi. I mocna kawa. Ruszę przodem i każę któremuś z pracowników przyjechać tu dżipem. Dzielna z ciebie dziewczyna, Gino. - Pokiwała z uznaniem głową. - To cud, że się utrzymałaś. Niejeden jeździec by spadł.

Ponownie wprawiła konia w galop.

Gina, dysząc ciężko, wciąż stała w objęciach Cala.

W dalszym ciągu nic nie mówiła. Jeszcze nie odzyskała rumieńców, ale przynajmniej nie zemdląca.

- Posłuchaj. Nie musimy tu czekać na dzipa, możemy wrócić na moim walcu. Siedziałyś przede mną, a ja bym cię mocno trzymał. Ale jeśli wolisz zaczekać, potrząśnij głową.

- Dobrze - powiedziała, pokrzepiona troską w jego głosie.

- To znaczy? Wolisz zaczekać czy wracać?

- Wracać. Z tobą. - Z jej oczach strach mieszał się z odwagą.

- Nie pozwolę, aby cokolwiek złego cię spotkało - obiecał. - Po prostu mi zaufaj.

- Ufam ci - szepnęła. - Uratowałeś mi życie. Co by ze mną było, gdybyś się w porę nie zjawił?

- Nie myśl o tym.

- Wąchałabym kwiatki od spodu.

- Ciii. - Wzdrygnął się.

- Chciałam się nauczyć jeździć dla ciebie. Twoja mama dawała mi lekcje. Zawiodłam ją.

- Ależ co ty opowiadasz! - oburzył się. - Konie czasem wpadają w popłoch. To nerwowe zwierzęta, a kangury mają zwyczaj wyrastać jak spod ziemi. Zobaczysz, jeszcze się wszystkiego nauczysz.

Po powrocie do domu wszyscy wokół niej skakali.

- Możesz już odejść do swoich obowiązków, Cal - rzekła po godzinie Jocelyn, nalewając Ginie piątą filiżankę herbaty. - Ginie już nic złego się nie stanie. Będziemy się troszczyć o mamusię, prawda, Robbie?

- Spełniać jej życzenia! - oznajmił zdecydowanym tonem chłopczyk.

Wstawszy z fotela, Cal popatrzył na Ginę, która leżała na kanapie.

- Zostanę, jeśli wolisz...

- Nie, nie trzeba. Masz mnóstwo pracy, a mnie nic nie jest. Serio.

- Zaopiekujemy się nią, tatusiu - obiecał Robbie. - Ja i babcia. - Nagle chłopiec zmarszczył czoło. - Wystraszyłeś się, tak?

Cal uśmiechnął się, zaskoczony.

- Potwornie - przyznał.

- Mamusia niczego się nie boi - oznajmił z dumą chłopiec.

Wtem do pokoju wpadła zatroskana Rosa z Edwardem, którzy właśnie wrócili z własnej przejażdżki.

- Gino! Co się stało?

Gina opuściła nogi na podłogę. Ile można się nad sobą roztkliwiać?

- Nie denerwuj się, Roso. Wszystko w porządku.

- Jesteś blada. - Powiódłszy wkoło wzrokiem, Rosa utkwiała oskarżycielskie spojrzenie w Jocelyn.

- Mamusia nie chce o tym rozmawiać - rzekł Robbie, biorąc ciotkę za rękę. - Wystraszyła się, kiedy jej koń pędził galopem, ale tatuś go zatrzymał. Tatuś jest bohaterem. Teraz wszyscy mamusię pocieszamy. Chcecie herbaty?

Rosa zamrugwała.

- Her... Raczej kawy.

Jocelyn poderwała się na nogi.

- To ja zaparzę.

Dopiero wieczorem Gina doszła do siebie. Mogła zostać kaleką lub zginąć, a żyje. Wszyscy wokół niej skakali.

Po raz pierwszy przy stole panowała autentyczna harmonia; Jocelyn kilka razy pochyliła się, aby ścisnąć dłoń Giny. Ewan również. Godzinę przed kolacją zadzwoniła Meredith, która od paru dni przebywała u Steve'a, doradzając mu, jakie zmiany wprowadzić w Euroce, i przeraziła się, gdy usłyszała najnowsze wieści.

- Boże, Gino, musiałas najeść się strachu! Mama też się nieźle wystraszyła. Kiedy z nią rozmawiałam, z trudem powstrzymywała łzy. Jakie szczęście, że Cal był w pobliżu. - Na moment zamilkła. - No cóż, musisz mu w nocy ładnie podzię-



kować, że uratował ci życie.

Z przyjemnością to zrobię, pomyślała z uśmiechem Gina, czując przyływ sympatii do przyszłej bratowej.

Około jedenastej wieczorem wszyscy rozeszli się do swoich pokoi; w domu nastąpiła cisza. Parę minut później Cal zapukał do sypialni Giny.

Trzymał w rękach butelkę szampana i dwa kieliszki.

- Są sytuacje, kiedy tylko szampan się nadaje.

- To prawda. - Obróciwszy się, Gina ujrzała ich odbicie w lustrze toaletki: on ciemny, wysoki, supermęski, ona z rozpuszczonymi włosami i lśniąca skórą, ubrana w jedwabny szlafrok. - Czy coś świętujemy?

- Jeszcze pytasz? Dzisiejszy dzień. - Poglądził dłonią jej policzek. - A jednak Bóg istnieje.

- Oczywiście. - Przesiadła się na wygodny szezlong obity jasnozielonym aksamitem. - Nigdy w to nie wątpiłam.

- A ja już nigdy nie zwątpię. - Delikatnie wyjął korek z butelki, przyniesioną serwetką tłumiąc huk wystrzału, po czym napełnił kieliszek. - Zauważyłaś, że aksamit na szezlongu ma identyczny odcień co twój szlafrok?

- Dlatego wybrałam to miejsce - oznajmiła niskim głosem. - Usiądź koło mnie. - Poglądziła gładką powierzchnię. - Miejsca wystarczy.

Cal uśmiechnął się szeroko.

- Zdecydowanie wystarczy. Ten mebel ma prawie szerokość podwójnego łóżka. Musimy go kiedyś wypróbować. - Jego zielone oczy zaśmiały się. - Za nas! - Spoważniał. - Przez krótki przerażający moment sądziłem, że cię stracę.

Patrząc sobie głęboko w oczy, wzniesli toast.

- Czyli jednak ci na mnie zależy?

- Jak możesz o to pytać?

- Od początku męczą cię silne emocje, Cal. Nie zaprzeczaj. Widzę to.

Przyznał jej w duchu rację.

- Od dziś wszystko się zmieni - obiecał. - Przed laty skradłaś mi serce, Gino, a potem... - Wzruszył ramionami. - Ale to już przeszłość.

- Wiele się nauczyłam. Zmądrzałam. Dziś wiem, że powinnam była postąpić inaczej.

- Ja też - przyznał, ujmując jej wolną dłoń. - Wtedy, cztery lata temu, powinienem był ożenić się z tobą. Powinienem był przejrzeć Lorinę na wylot. Ale ona należała do rodziny i mówiła niezwykle przekonująco. Wierzyłem, że mnie kocha i ma wyłączne moje dobro na myśli.

- Bo miała, przynajmniej tak jej się wydawało - powiedziała Gina. - W dodatku wcale nie musiała się natrudzić. Ty jej ufałeś, bo to twoja ciotka, a ja wierzyłam, że nie zasługuję na twoje uczucie.

Zmarszczył czoło; na jego twarzy odmalował się gniew.

- Tak ci powiedziała?

- Po prostu w to wierzyłam - powtórzyła cicho Gina, wpatrując się w świeży bukiet tropikalnych orchidei na stoliku przy łóżku. Nie chciała rozdrapywać starych ran. Życie jest zbyt krótkie, aby myśleć o zemście.

- A dziś w co wierzysz? - zapytał.

- Dziś? Hm, nie jestem pewna, czy ty zasługujesz na mnie.

Parsknął śmiechem.

- Dokończ te bąbelki. A ja ci zaraz udowodnię, że zasługuję! Do rana mogę ci to udowadniać!

Przeciągnęła się zmysłowo.

- Wspaniale! Ale pożądanie nie wystarczy. Potrzebuję - czegoś więcej.

- I dostaniesz. - Świadomość tego, że mogła zginąć, otworzyła mu oczy na wiele spraw.

- Poproszę. - Nadstawiła pusty kieliszek.

Cał wstał.

- Każesz mi czekać? - Obejrząwszy się przez ramię, zobaczył pomiędzy po-

łami szlafroka długie zgrabne nogi.

- Raczej chcę, żeby ta chwila trwała jak najdłużej. Twoje umiejętności erotyczne bardzo sobie cenię, ale wiesz, że nigdy nie słyszałam z twoich ust „kocham cię”?

Napełniwszy jej kieliszek, ponownie usiadł koło niej.

- Ja z twoich też nie. Przynajmniej ostatnio.

Przywarł ustami do jej ust. Miały cudownie owocowy smak, smak szampana.

- Kocham cię, Gino. Tamto dawne uczucie nie zniknęło. - Zmrużył oczy. - Wyglądasz jak bogini.

- Jak bogini? - Roześmiała się. - Jestem zwykłą kobietą.

- O zwykłej kobiecie byłoby mi łatwiej zapomnieć. - Na moment zamilkł. - Nie byłem z tobą, kiedy rodził się nasz syn...

Odstawiła kieliszek i objęła Cala za szyję.

- Brakowało mi ciebie. Wielokrotnie wykrzykiwałam twoje imię. Wszyscy na porodówce słyszeli, jak cię wołam.

- Powinienem tam być - odrzekł z przekonaniem.

- Następnym razem będziesz - szepnęła, bojąc się, że zaraz wybuchnie płaczem.

- Nie potrafiłem o tobie zapomnieć.

- Ja o tobie też nie. - Pocałowała go czule w usta. - Wierysz w przeznaczenie?

- Teraz tak. - Zsunął jej z ramion szlafrok, po czym opadł na kolana i przywarł ustami do jej piersi. - Ty jesteś moim, a ja twoim.

Uśmiechnęła się zalotnie.

- Udowodnij to.

Bez słowa przeniósł ją na ogromne łóżko i powoli, nieśpiesznie, zaczął udowadniać.

- Kocham cię na śmierć i życie.

- Ja ciebie również. Bez pamięci.

Tej nocy połączyły się nie tylko ich ciała, ale także serca i dusze.

Parę dni później Cal oznajmił rodzinie, że leci z Giną do Broome po perły.

- Chcę jej podarować w prezencie ślubnym.

- Zabierzecie mnie z sobą? - spytał Robbie.

Cal pogładził syna po głowie.

- Nie tym razem, smyku. Ale po powrocie będę miał dla ciebie wielką niespodziankę.

Chłopiec popatrzył na matkę.

- Jaka?

- Jak ci powiem, to nie będzie niespodzianki - odparła Gina. - Ale na pewno ci się spodoba.

Robbie zamyślił się.

- Już wiem! - zawołał podniecony. - Dostanę kuca!

- Ostrożnie, bo się przewrócisz. - Ewan McKendrick przytrzymał krzesło. Był oczarowany swoim wnukiem. Jasne, że chodziło o kuca! Każdy McKendrick w wieku Roberta miał własnego kuca.

- Nie martwcie się o małego. - Jocelyn posłała wnukowi porozumiewawczy uśmiech. - A w perłach będzie ci do twarzy, Gino. Białe z Morza Południowego są najpiękniejsze na świecie.

W leżącym nad Oceanem Indyjskim wielokulturowym Broome mieszkali Europejczycy, Chińczycy, Japończycy, Malajowie, Timorczykcy oraz ludność aborygeńska. Od najdawniejszych czasów miasto było mekką poławiaczy pereł.

Gina miała dwa pierścionki i jedną broszkę, więc popołudniowa wycieczka po sklepach jubilerskim stanowiła dla niej ogromne przeżycie. Ekspozowane sznury pereł dosłownie zapierały dech w piersiach. Ich cena również.

Milczenie Giny ekspedientka potraktowała jako wyraz niezadowolenia, bo po chwili przyniosła krótszy sznur z dużych pereł.

- O tak, te są doskonałe! - zawołał Cal. - Trzeba było nam od razu takie pokazać! Przymierz, kochanie. - Uśmiechnął się do Giny, po czym ponownie zwrócił do ekspedientki: - Do kompletu weźmiemy jeszcze kolczyki.

Spędzili razem cudowny dzień, a to jeszcze nie był koniec. Gina skończyła się ubierać do kolacji - wynajęli w hotelu apartament - kiedy w sypialni pojawił się Cal.

- Ktoś na ciebie czeka w salonie - oznajmił.

- Już idę. Jak wyglądam? - Miała na sobie nową suknię z jedwabiu z głębokim dekoltem. Może zbyt głębokim?

Cal tak nie uważał. Skinął z zachwytem głową.

- Bosko. Seksownie. - Pocałował ją w usta. - Ale teraz chodź.

- Kto...? - zaczęła niepewnie.

- Ktoś, kogo znasz.

Poczuła znajome łaskotanie, jakby dotyk chłodnego palca na szyi. Zastanawiała się, kogo zobaczy w salonie: mężczyznę czy kobietę? Mężczyznę, usłyszała wewnętrzny głos.

Cal ujął ją za rękę.

- Niełatwo mi było go znaleźć, ale...

Staną w progu oniemiała ze zdumienia.

- Sandro? Mój Sandro! Och, Cal, jak ci się odwdzięczę? - Popatrzyła z miłością na ukochanego, po czym rzuciła się w ramiona mężczyzny, z którego oczu płynęły łzy. - Jak mogłeś, Sandro? - Zaczęła bić brata po klatce piersiowej. - Nie było dnia, żebym za tobą nie tęskniła!

- Wybacz, Gino. Ja też za tobą tęskniłem, ale nie wiedziałem, że tata umarł. Póki żył, nie mogłem wrócić do domu.

- Już nigdy nas nie opuścisz. Nie pozwolę ci.

Cal, bardzo z siebie zadowolony, przez moment w milczeniu obserwował scenę powitania.

- Wrócę za kwadrans - rzekł po chwili.

Brat z siostrą potrzebowali paru minut wyłącznie dla siebie.

Cieszył się, że jego starania zostały uwieńczone powodzeniem. Przez wiele tygodni wynajęci przez niego detektywi szukali Alessandra Romano; w końcu znaleźli go w Broome. Sandro zmienił imię i nazwisko; obecnie nazywał się Alec Sanders i był cenionym pracownikiem jednej z największych firm specjalizujących się w połowach pereł.

Cal uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że Gina z Sandrem już nigdy nie stracą z sobą kontaktu. Bądź co bądź Broome nie leży na drugiej półkuli.

RS

# EPILOG

„Cal McKendrick poślubia Ginę Romano” - artykuł pod takim tytułem autorstwa Zoe Caldwell ukazał się w „Aurora Magazine”.

„Biorę cię za męża... za żonę... i ślubuję... Wszyscy znamy te słowa. Na Wzgórzu Koronacyjnym, gdzie odbyła się przepiękna, wzruszająca ceremonia ślubna - na którą ja, szczęściara, zostałam zaproszona - żaden z gości nie miał suchych oczu. Panna młoda w białej, cieniutkiej niczym mgiełka sukni bez rękawów, gdzieniegdzie wyszywanej złotą nitką, i delikatnym złotym diademie na głowie, wyglądała jak bogini. Jej szyję i uszy zdobiła piękna biżuteria z pereł. Druhnami były Tanya Fielding w żółtej sukni z szyfonu oraz Meredith McKendrick w identycznej sukni barwy błękitu. Jako paż wystąpił uroczy synek młodej pary, trzyletni Robert McKendrick, który podczas całej uroczystości zachowywał się nienagannie. Druzbami pana młodego byli hodowca Ross Sunderland z farmy North Star oraz przyszły szwagier Cala, Steven Lancaster, właściciel Euroki. Pannę młodą prowadził do ołtarza jej przystojny brat. Matka rodzeństwa, Lucia, i ich ojczym, Duńczyk Kort Walstrum, przyjechali na uroczystość ze swojej plantacji kawy na Nowej Gwinei.

Państwo młodzi wybierają się w podróż poślubną do Dubaju. W drodze powrotnej zwiedzą Hongkong i Bangkok. Starsi McKendrickowie zamierzają przenieść się do swojego apartamentu nad zatoką w Sydney, a na farmę wpadać w odwiedziny. Następną uroczystością w rodzinie będzie ślub Meredith McKendrick ze Stevenem Lancasterem. Po nich do ślubu szykuje się stryj pana młodego, Edward McKendrick, który zamierza poprowadzić do ołtarza wybrankę swego serca, matkę chrzestną panny młodej, piękną Rosę Gambaro.

Dziewczyny spragnione miłości! Przyjeżdżajcie w te strony! Tu miłość krąży w powietrzu, atakuje niczym wirus!”.